

BILUSZCZ



WARSZAWA, 27 LUTEGO 1926 ROKU

OD ADMINISTRACJI

**Prosimy o wpłatę prenumeraty za marzec r. b.
Czeki P. K. O. dołączyliśmy do N-ru 8-go.**

NA CZEKACH PROSIMY WYMIENIAĆ OKRES, KTÓREGO PRENUMERATA DOTYCZY, ORAZ PODAWAĆ DOKŁADNY SWÓJ ADRES, A TO: IMIĘ, NAZWISKO, ZAWÓD, MIEJSCE ZAMIESZKANIA, ULICĘ, Nr DOMU I POCZTĘ.

W Administracji „Bluszczu” są do nabycia następujące książki:

Zofja Machowiczowa	„Zbiór Monogramów” z przesyłką	zł. 5.—
Annie Vivanti	Naja Tripudians (Żmija Egipska)	„ 3,00
J. Conrad	Sześć Opowieści	„ 1,95
„	Smuga Cienia	„ 1,95
J. London	Odszczepieniec	„ 0,95
E. G. Wells	Wehikuł Czasu	„ 0,95
W. Gomułicki	Siódme Amen	„ 0,95
A. Dumas	Dama Kameljowa	„ 0,95
Winawer	Lepsze Czasy	„ 0,95
W. Grubiński	Nowele	„ 0,95
Tetmajer-Przerwa	Waterloo	„ 0,95
G. Maupassant	Panna Fifi	„ 0,95
J. London	Opow. Mórz Południowych	„ 0,95
J. Kraszewski	Hr. Cesel t. I.	„ 0,95
„	„ II.	„ 0,95
„	„ III.	„ 0,95
J. London	Ostatni z Siekierzyńskich	„ 0,95
„	Syn Słońca	„ 0,95
„	Serce Kobiety	„ 0,95
„	Wilk Morski t. I.	„ 0,95
„	„ II.	„ 0,95
„	„ III.	„ 0,95
„	Zew Krwi	„ 0,95
„	Wyga	„ 0,95
Dygasiński	Złamane Życie	„ 0,95
K. Dickens	Opowieść Wigilijna	„ 0,95
Mark Twain	Król i Osioł	„ 0,95
E. Ligocki	Powrót Beatryczy	„ 0,95

KOSZTA WYSYŁKI ZWYKŁEJ 15 GR. — POLECONEJ 45 GR.

PO OTRZYMANIU ZNACZKAMI POCZTOWEMI WYMIENIONEJ SUMY, KSIĄŻKI
WYSYŁAMY NATYCHMIAST POCZTĄ.

JUŻ WYSZŁA Z DRUKU

ANNIE VIVANTI

FASCYNUJĄCA NOWOŚĆ

NAJA TRIPUDIANS

(ŻMIJA EGIPSKA)

ŚWIETNIE TŁUMACZONA PRZEZ T. JAKUBOWICZA

Cena 3 zł., z przesyłką poleconą 3 zł. 50 gr. Na składzie w Administracji „Bluszczu”.

Wysyłka polecona po poprzednim nadesłaniu należności.

2 TOMIKI ZŁ. 5.

ANNA SŁONCZYŃSKA

2 TOMIKI ZŁ. 5.

MUZYKA SŁOŃCA I BOŻE GNIAZDO

Nakład Ludwika Chomińskiego. Wilno.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

KTO MA BRODAWKI NA TWARZY I RĘKACH
KTO CIERPI NA ODCISKI (ODGNIOTY) NA
NOGACH, NIECH KUPI PASTĘ

ESTA

ZNANĄ OD CZTERDZIESTU LAT ZE SWEJ
SKUTECZNOŚCI, CZEGO DOWODEM SĄ
UZNAŃ I PODZIĘKOWAŃ

wyrobu aptekarza E. SOKALSKIEGO w Kętach—Małopolska.



ROK LIX

Nr 9

KOBIETA

WARSZAWA, 27 LUTEGO 1926 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Czem są, a czem być powinny—*H. C.* Wychowanie fizyczne kobiet w Finlandji—*K. L.* Kształcić, czy zabijać wyobraźnię dziecka—*C. Walewska.* Pani Kl. S. z Wielkopolski w odpowiedzi—*N. Samotyłowa.* W pracowni pani Olgi Boznańskiej—*M. Czapska.* Nowa święta—*K. B.* Wiersze: „Nad rzeką”—*Jan Brzechwa.* Myśl o tem co chcesz (c. d.)—*Helena Ceysingerówna.* Margarina de Bois de Boulogne (groteska w 3 aktach (c. d.)—*Magdalena Samozwaniec.* Podbój siedziby—*Rudyard Kipling* (tłum. Koziełło-Poklewska). Córka Boga (c. d.)—*Z. Zawiszanka.* Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Z teatrów—*Z. P.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Nowoczesne kwiaty. Neglige i dessous—*W. L.* Echa karnawału—*Well.* Hodowla jedwabników (c. d.)—*J. S.* Zakładanie inspektów (dok.)—*Stan. Schönfeld.* O dyspozycji obiadów (c. d.)—*Pani Elżbieta.* Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta.* Korespondencje działu praktycznego. Rozrywki umysłowe. Kuś hodowli pokojowej roślin. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Jarek i Hamlet” (kronika zdarzeń z życia pewnego chłopca, jego psa i prowincjonalnego miasta (c. d.)—*Hugh Walpole* (tłum. z angielskiego *Irena Wasutyńska*). ARKUSZ WZORÓW.

CZEM SĄ, A CZEM BYĆ POWINNY

Mówię o policjantkach.

Wysiłkiem czynników społecznych, pod naciskiem zobowiązań międzynarodowych, wytworzona została w roku ubiegłym pierwsza kadra państwowej kobiecej policji obyczajowej.

Doboru jednostek nie pozostawiono wówczas wyłącznie czynnikom społecznym. Przy doborze tym istniało, jak wiemy, nietylko współdziałanie władz policyjnych, ale i do nich należało prawo decyzji.

Obecnie mówić już można o rezultatach, mówić nawet należy, ponieważ podobno istnieje zamiar reorganizacji tej kadry.

Reorganizacja polegać ma na usunięciu jednostek, które podczas próbnej służby zostały z tych czy innych względów zdyskwalifikowane.

Otóż przypomnieć warto, że dobór, dokonany przez czynniki społeczne, okazał się szczęśliwszy i nalegać, by w dalszym ciągu przy angażowaniu kobiet do policji obyczajowej, jaknajdalej idący wpływ zagwarantowany był przede wszystkim stowarzyszeniom kobiecym. Jest to zupełnie zrozumiałe. Stowarzyszenia te, daleko bliższe są idei i celów, dla których powołuje się do życia policję kobiecą, niż czynniki policyjne, daleko też lepiej zdają sobie sprawę z tego, jaki typ kobiety celom tym służyć może. Rozumieją one, że policjantka musi być pod każdym względem, a więc i życia osobistego, człowiekiem bez zarzutu. Orientują się wśród kandydatek lepiej i pewniej, niż mężczyźni.

Są to jednak uwagi, dotyczące raczej spraw

organizacyjnych; nam zaś chodzi tu przede wszystkim o stronę zasadniczą.

Do czego służyć ma policja kobieca?

Przy panującym u nas systemie t. zw. neoreglamentacji zużyto ją przede wszystkim do śledzenia potajemnego nierządu i doprowadzania prostytutek do badań lekarskich i obowiązkowego leczenia się. System ten, nie dopełniony obowiązkiem leczenia się chorych mężczyzn, przedstawia nawet jako metoda zapobiegawcza szerzeniu się chorób wenerycznych bardzo poważne znaki zapytania, nie mówiąc już o innych względach, które pracę ich czyniły zapewne policjantkom bardzo ciężką, bo w dużym stopniu przeciwną najgłębszemu ich przeświadczeniu, instynktowi solidarności kobiecej i poczuciu sprawiedliwości. Wprawdzie udział ich w tej akcji złagodził w dużym stopniu brutalność systemu; nie zmienił jednak jego istoty. Jeżeli więc i w tym zakresie czynności swoich wykazały one większą gorliwość i aktywność od wywiadowców mężczyzn, co stwierdzone zostało wyraźnie na posiedzeniu Komitetu walki z handlem kobietami i dziećmi, to przypisać to należy głębokiemu poczuciu obowiązku, jaki wyróżnia zawsze kobiety, oddane pewnej idei.

Mniejszy nacisk położono zwłaszcza z początku na drugostronne zadania: śledzenie tajnych domów schadzek, handlu żywym towarem, pośredników, stręczycielek i t. p.

Coprawda, dopóki nowa ustawa nie sprecyzuje rozlicznych kategorii tych przestępstw i nie wyznaczy surowych za nie kar, jest akcja wszelka w tym

kierunku pewnego rodzaju sportem, nie mającym efektywnych następstw. Kilka złotych kary, lub kilka dni aresztu nie zniechęci nikogo do ponowienia eksperymentu.

Najpoważniejszym działem pracy policjantek naszych są, jak dotąd, dyżury na dworcach. Tam, jak świadczą bezstronne Misje dworcowe, zdołały one, jeśli nie zapobiec, to utrudnić bardzo działalność zorganizowanych szajek, polujących na przyjezdne dziewczęta. Tam robota policji kobiecej w daje zupełnie widoczne i doskonałe rezultaty. Na początek jest to już wiele i bardzo wiele i wystarczyłoby samo przez się do uznania policji kobiecej za czynnik w życiu naszym nie tylko pożyteczny, ale wprost niezbędny.

Jednakże będzie ona mogła wkrótce pochwalić się i plonem innego rodzaju.

Cały szereg spraw sądowych, wytoczonych różnym przedsiębiorczyniom, stręczycielkom i stręczycielom, a w których wysledzeniu poważną rolę odegrała policja kobieca, zaświadczy, mimo nieznanego, z winy braku odpowiednich ustaw, efektu sądowego o gorliwej ideowości policji kobiecej.

Mimo to, stwierdzić trzeba, że nie jest ona dotychczas tem, czemby być mogła, gdyby: po pierwsze—posiadała większą swobodę działania, ewentualnie, gdyby kierownictwo znajdowało się w ręku kobiety, wyposażonej w wyższą szarżę policyjną;

po wtóre: gdyby zakres działania jej był obszerniejszy;

po trzecie: gdyby była znacznie liczniejszym zastępem.

Co do zakresu działania, przyznać trzeba, że wyobrażaliśmy go sobie nieco inaczej. Śledzenie tajnej prostytucji i dostarczanie pupilek Urzędowi sanitarno-obyczajowemu nie wchodziło wcale w te plany. Raczej—walka z nierządem w postaci nikczemnych wzwyskiwaczy ludzkich słabości, spekulantów na giełdzie występku i nieszczęścia!

To przedewszystkiem!

Z drugiej strony jednak. póki system neoreglamentacji u nas obowiązuje—jest rzeczą nieodzowną, by zatrudnione w nim kobiety wniosły w tę smutną działalność i ludzkie obojętne, i bezinteresowność, która nigdy tak absolutną u mężczyzn być nie może.

Wogóle element męski należałoby z policji obyczajowej, o ile możliwości, usuwać.

A pozatem policja kobieca zdała nam się być tym czynnikiem, któryby wszelkiemu zepsuciu, jego akcesorjom i środkiem doń wiodącym, wypowiedział stanowczą krucjatę.

A więc — nie tylko nierząd, ale i alkoholizm, i handel narkotykami, i handel pornografią, i produkcje quasi artystyczne, a w gruncie rzeczy tylko

rozpuście i służące — wszystko, co jest chorobą społeczną, rozkładem, deprawacją, zgnilizną — wszystko to miało się dostać w ich ręce.

Niema rzeczy bliżej z sobą związanych, jak alkoholizm i prostytucja. Zwykle w stanie alkoholizmem go zażmienia poszukuje się uciech najniższego rzędu. Zwalczając alkoholizm, jest to zwalczając prostytucję. I dlatego przestrzeganie tej nieszczęsnej ustawy antyalkoholicznej powierzyć trzeba policji kobiecej — trzeba dlatego także, że, jak dotąd, nie jest ona wcale przestrzegana i, mówmy otwarcie, nie będzie dopóty, dopóki straż nad nią powierzona będzie mężczyznom. Jeśli nie chcemy, by naród nasz zwyrodniał i zmarniał zatruty alkoholem, trzeba tę ustawę wprowadzić w życie, a wprowadzić ją można tylko przez kobiety. To samo stosuje się do wydawnictw pornograficznych, do handlu narkotykami itd. itd. Społeczeństwo kobiece w znacznym swoim odłamie żąda stanowczo powierzenia tych spraw rękom policjantek.

Pozatem jest cała olbrzymia dziedzina zapobiegania zepsuciu: dozór nad dziećmi bezdomnymi, zebrzącymi z rozkazu rodziców, nad młodemi dziewczętami, które brak pracy i nędza wiedzie na manowce itd., nad dziećmi prostytutek, przestępczyni kryminalnych itd. itd. Kierowanie tych dzieci i dziewcząt do odpowiednich zakładów, zbieranie ich po ulicach, wyszukiwanie po zaułkach i przedmieściach, to byłaby praca w skutkach o wiele pożyteczniejsza, niż doprowadzanie do urzędu sanitarnego zdecydowanych już prostytutek.

Wreszcie, jest poza tem wszyskiem pole pracy dla policji kobiecej, wprawdzie związane tylko z chwilą bieżącą, ale niezmiernie ważne: to sprawa lichwy drożyznianej. Dopóki nie weźma tej rzeczy w swoje ręce policjantki, dopóty wszystkie przepisy, rozporządzenia itd. będą tylko takim śmiesznym nic, jakim są dotychczas.

Jak widać z powyższego, dziedziny koniecznej, niezbędnej pracy policjantek są olbrzymie i prosty już stąd wniosek, że trzeba kadry ich jaknajprędzej powiększyć. Państwu nie przyniesie to zwiększenia wydatków, bo o tyleż zmniejszyć można kadry jawnej i tajnej policji męskiej. A korzyść odniesie Państwo podwójną, bo i na chwilę bieżącą i na przyszłość, przez przyspożenie narodowi kapitału zdrowia moralnego i fizycznego.

Spodziewamy się więc, że niezadługo zorganizowany zostanie nowy kurs wyszkolenia policji kobiecej, który pozwoli zapełnić powstające już w niej luki i ogarnąć choć drobną część wskazanych powyżej konieczności.

Wartość udziału kobiet w zwalczaniu chorób społecznych uznawać zaczyna cała Europa. Jak dowiadujemy się właśnie. Berlin i Praga Czeska zaczynają organizować policję kobiecą. Nie dajmyż się wyprzedzić, my, cośmy pierwsi zaczęli.

H. C.



W YCHOWANIE FIZYCZNE KOBIEC W FINLANDJI



Daleki, północny kraj. Uboga ziemia, z mozołem uprawiona, skąpe dająca owoce. Długa, zimowa, bezsłoneczna noc w części północnej. Trudne do opanowania i przebycia bystre potoki. Głębokie śniegi zalegające pola i drogi przez wiele miesięcy. I kapryśne, groźne morze dokoła.

Wcześniej zaczynają pracować mięśnie w tym kraju. I wcześniej zjawia się świadomość ich racjonalnej kultury, by osiągnąć siłę, potrzebną do walki z przyrodą.

* * *

Kobieta fińska, wcześniej wyzwolona i postawiona obok mężczyzny, na długo przedtem zaprawiała się do tej fizycznej walki. Wioząc żywność do miasteczek — wioślowała sama, zimą przebywała wielkie śnieżne przestrzenie na nartach, lub maleńkich saneczkach, zaprzężonych w reny, którymi kierowanie należy do cudów zręczności.

Wprędce też przystąpiła do organizacji wychowania fizycznego. Już w roku 1869 Matylda Asp zakłada prywatny instytut gimnastyczny w Helsingforsie. Instytut ten w ciągu 25 lat zajmował czołowe stanowisko na polu kształcenia instruktorek gimnastycznych według systemu niemieckiego Spiess'a.

W roku 1901 ogłasza Elin Kallio, twórczyni gimnastyki fińskiej, swoją „Instrukcję gimnastyki kobiecej”, wprowadza nieco zmodyfikowany system szwedzki Ling'a do Finlandji. Dzięki jej wieloletniej pracy gimnastyka kobieca fińska jest dzisiaj jedną z najlepszych na świecie.

Godną jej następczynią jest pani Elli Björkstén, wykładająca gimnastykę na uniwersytecie w Helsingforsie. Jest ona obecnie główną twórczynią instruktorek gimnastyki na cały kraj. Zasady jej opierają się również o system Ling'a, zmodernizowany jednak i przystosowany do indywidualnych cech kobiecych. Podstawy systemu wyłożyła w książce „Gimnastyka kobieca”, wydanej po raz pierwszy w roku 1918.

Odrębność jej systemu polega na szerokim zastosowaniu ruchów rytmicznych, których brak u Ling'a, stosuje ona postawy naturalne, ruchy praktyczne, pełne równocześnie fantazji i rytmiki.

Odpowiednio i muzycznie opracowane wydanie komendy ma, według niej, sprzyjać pięknemu wykonaniu. Posiada ona już dzisiaj, dzięki swym pokazom zagranicznym, sławę międzynarodową i szereg krajów przyjęło z pewnością zmianami jej system.

Pionierką na polu sportu kobiecego była Anni Collén. Stworzyła ona odznakę sportową kobiecą, mającą na celu przyciągnięcie szerokich mas ludności żeńskiej do sportu. Odznaka ta ma kształt ozdobnej szpilki: brązowej, srebrnej i złotej. Po osiągnięciu ustalonych minimum rezultatów w 13 odrębnych sportach otrzymuje kandydatka szpilkę brązową. Po powtórzeniu egzaminu trzykrotnym w ciągu najbliższych trzech lat — osiąga szpilkę srebrną, po następnych trzech latach i odpowiednich trzech egzaminach — szpilkę złotą.

Prócz tego istnieje szereg specjalnych odznaczeń dla tych, które znacznie przewyższają wyma-

gane minimum. Rozpoczęto rozdzielanie odznak w roku 1918 i dotychczas rozdano ich około 16.000. Sporty i gimnastyka kobieca w Finlandji posiadają swe odrębne związki, jak również sekcje specjalne w ogólnych organizacjach sportowych. Główną organizacją kobiecą była „Federacja gimnastyczna kobiet w Finlandji”, która w roku 1917 rozbiła się na dwie odrębne organizacje: fińską „Związek wychowania fizycznego kobiet,” (S. N. L. L.) i szwedzką „Szwedzki związek rozwoju fizycznego kobiet w Finlandji” (F. F. F.).

W roku 1923 związek fiński liczył 70 organizacji z łączną liczbą około 3500 członków, szwedzki 18 organizacji o liczbie około 1200 członków. Prócz tego w organizacji ogólnej „Związek fiński gimnastyczno-sportowy” (S. V. U. L.) pracują sekcje kobiece o ogólnej liczbie około 5000 członków, a w organizacji robotniczej „Związek Sportowy Robotniczy” (T. U. L.) sekcja kobieca liczy około 6000 członków. Wreszcie w czasach ostatnich idea sportowa przeniknęła do licznych organizacji kobiet chrześcijańskich (odpowiednich Y. M. C. A.).

Rzeczą bardzo oryginalną jest, że czysto kobiece organizacje sportowe nie urządzają zawodów i konkurencji, jedynie pokazy gimnastyczne i sportowe. Robią to wyłącznie sekcje w organizacjach ogólnych, gdzie oczywiście dopuszczone są kobiety, należące do wszystkich związków sportowych, jak i poza związkowe.

Bardzo liczny udział kobiet fińskich w świętach i zawodach gimnastycznych innych narodów jest wielką bronią propagandową. Masowy jednak udział w organizacjach sportowych jest dowodem dostatecznego uświadomienia o ważności wychowania fizycznego.

Niezmiernie ważnym jest zagadnienie kadr wychowawczyń sportowych i gimnastycznych. Przygotowuje się je w trzech instytutach gimnastyki i sportu: w Vazala, Tanhuvaza i Hasselö. Dwa pierwsze fińskie, trzeci — szwedzki. Instytuty te mają charakter prywatny, kończący jednak mogą zajmować stanowiska nauczycielek i instruktorek w szkołach państwowych.

Jako szkoła państwowa funkcjonuje instytut gimnastyczny przy uniwersytecie w Helsingforsie, dostępny zarówno dla mężczyzn i kobiet. Kurs trwa trzy lata — od wstępujących wymagana jest matura. Kończący otrzymują stanowiska nauczycielstwa w gimnazjach i liceach. Dla nauki gimnastyki w szkołach ludowych trzeba przejść specjalne dwumiesięczne kursa. I tutaj bardzo liczne jest uczestnictwo kobiet.

Patrząc na wspaniałe rezultaty osiągnięte przez Finlandję, poczynając od olimpiady sztokholmskiej roku 1912, po olimpiadę paryską roku 1924, ogarniało nas nieraz zdumienie.

Większe jednak jest ono, gdy widzimy te niezmiernie zastępy młodzieży sportowej, gdy przekonujemy się, że sport jest własnością wszystkich.

Stworzyła to wiara, że przyszłość otwiera się kluczem świadomej swych zadań moralnych sprawności fizycznej.

K. L.

KSZTAŁCIĆ, CZY ZABIJAĆ WYOBRAŹNIĘ DZIECKA?

I.

Marzeniem rodziców jest zawsze, żeby dzieci, dorósłszy, miały być zabezpieczone, pewny. Wszystek trud wychowania zwracamy w tym kierunku. Największa troska, gdy malcy przynoszą dwójki z pilności, postępów i sprawowania, gdy nauczyciel skarży się na ich roztargnienie, na odpowiedzi niezgodne z pytaniami, na obcość w gromadzie szkolnej. Wiadomo — nie będzie z takiego odmienca „człowiek interesu.“ Utknie gdzieś w drodze do ustalenia swego stanowiska, czy to ma być placówka biurowa, handlowa, nauczycielstwo, zawód wyzwolony, czy choćby wreszcie dochodliwe dziennikarstwo, artyzm popłatny, sztuka łatwa do spieniężenia.

W wiecznej pogoni za chimera wyobraźni tułacz—pięgrzym nie zasiądzie spokojnie nad misą strawy po wyliczonych godzinach trudu roboczego, nie uśnie wygodnie na puchu poduszek.

Gdybyż wiedzieć przynajmniej, że odmieniec, przynoszący dwójki i pałki ze szkoły, będzie kiedyś Słowackim! Ale gdzie pewność? Zresztą, sława pośmiertna nie nakarmi, nie ogrzeje. Więc martwią się rodzice, gdy potomek zdradza niesforność umysłu. Nie pomagają kary domowe, ani srogość nauczycieli.

Reymont trzymany był w żelaznych kleszczach nieubłaganej woli ojca, który chciał widzieć w nim wziętego adwokata, lekarza, a w najgorszym razie—sumiennego biuralistę. Nie udało się. Odmieniec w noc księżycowe wyskakiwał przez okno do sadu, czyta! Lillę Wenedę i szalał.

Miał lat sześć, kiedy już stwarzał sobie światy, tak dalekie od ponurej rzeczywistości, jak od szarej ziemi dalekie jest niebo.

Znamy martyrologię dzieciństwa jego i lat młodości. Znamy głód, nędzę, tułactwo od trupy do trupy aktorów wędrownych, a w p.zerwie jakoś marne posadki na przystankach kolejowych. Aby tylko nie dać się zgnieść tyranii ojca, aby obronić przed jarzmem myśli, która biegła w świat daleko. Czemu byłby Reymont i nie jeden z współczesnych mu autorów, gdyby nie ta sprężysta odporność przeciw nakazom otoczenia? Czy mielibyśmy oblrzymać Żeromskiego, gdyby nie siła jego i wytrwałość w przewyciężaniu twardych warunków losu? Czy mielibyśmy wogóle największych genjuszy świata? Każdy z nich łamać musiał drogowskazy zdawna utartych gościńców, żeby wyźłobić swoją własną koleinę.

Jeżeli kiedy, to w tym powojennym czasie doszliśmy właśnie do najsilniejszej żądzy reakcji przeciwko wszystkiemu, co nazywa się nienormalną pracą, nienormalnym życiem, nienormalnym wskaźnikiem celów i drogi. Właśnie dziś, gdy chaos wszechświatowy splątał nici wszystkich dawnych porządków, dawnych, kolejną lat wypracowanych, ustrojów, dążeń, nawyków. Dziś, gdy minęła burza, lecz jeszcze nic nie wróciło na swoje miejsce. Gdy trwamy w odmętach rozsprężenia. Gdy prawo-

ządność bytu naszego chwieje się i miota, jak błędny ogień na wietrze.

Grzmi poprzez stary świat, jak szeroki i długi, hasło amerykanizacji. Bo tylko Ameryka ostała się przed burzą. Tylko Ameryka nie przestała żyć prawnie. Tylko Ameryka ma pieniądze i gromadną sankcję panowania nad Europą. Tylko Ameryka—kraj businessu, zorganizowanej pracy, zorganizowanych filmów i jazzbandów, kraj ładu, składu, gdzie nawet dziennikarstwo jest jak maszyna, skromniejsze gazety bowiem obywają się bez redaktora głównego. Agencje dostarczają im na zamówienia nie tylko telegramów, kroniki wypadków i spraw bieżących, ale nawet artykułów wstępnych, zastosowanych do programu partii, której służy dany organ. Powieść, film, poezja musi być dostatecznie słodka, żeby trochę rozrzewnić, zabawna, żeby rozweselić, umiarkowanie dramatyczna, żeby utrzymać nerwy w napięciu, ale nigdy z zakończeniem tragicznym, bo businessman musi mieć myśl swobodną, nie zatrutą przykremit rzeczami. Inaczej nie mógłby wypracowywać interesu swobodnie.

Podobna recepta, jak preparat chemiczny, wymaga czynników różnorodnych. Więc najlepiej nadaje się potemu twórczość zbiorowa. I nie po dwóch autorów, jak niegdyś Goncourtowie. Amerykańscy wydawcy reklamują już utwory wspólne dwunastu naraz autorów. I ta sensacja wywołuje niesłychany popyt.

Tak samo maluje się obrazy. Tak samo układa teksty filmów. Mózgowa technika wkracza we wszystkie dziedziny życia. Tayloryzm w pełnym rozkwicie. Warsztaty Forda każą jednemu człowiekowi całe życie wyrabiać główkę śrubki, z wymierzoną ściśle szybkością przesuwając ją sąsiadowi, który całe życie spaja główkę z korpusem śrubki itd. itd. Po kilku latach takiej pracy zapadają te automaty ludzkie w stan bezmyślnej tępoty. Po co im słońce, które zaczarowuje świat i miraż obłoków, i tęcze, i srebrne rosy?—W oczach migają tylko śrubki, albo pękata główka śrubek. Odeszły od nich gaje marzeń. W mózgu jeno furkot maszyn. W nerwach, w mięśniach to równomierne aż do opętania napięcie, z którym idą przez życie już aż do końca. Ludzie — maszyny, ludzie — numery.



Artyźmie średniowiecza, co się z tobą stało? — Pobożni braciszkanie, iluminatorzy ksiąg świętych, którzyście w rozkosz pracy tchnęli światy dusz swoich płomiennych, zacni majstrzykowie, latami rzeźbiący, wykuwający, czelujący odrzwia świątyni, złote kielichy i monstrancje, ozdoby w stallach—czy tajemnicza cudu rzemiosł waszych, przekazywana w świątobliwym skupieniu z pokolenia na pokolenie już nigdy nie zmartwychwstanie?

Najtrudniejszym chyba zadaniem wychowawców jest kierowanie

wyobraźnią dziecka tak, aby nie paczyć jej tam, gdzie wybucha z żywiołową siłą, a budzić ją ostrożnie w suchych mózgach, pozbawionych radości snów i widzeń czarodziejskich.

Mówia—wyobraźnia, przeniesiona na grunt praktyczny, w dziedzinę nauk ścisłych, prawodawstwa, polityki, finansów, gospodarstwa publicznego, czy prywatnego, staje się siłą niszczytelką. Do pewnego stopnia—tak—o ile porywa w krainę zbyt ryzykownych eksperymentów. Jednak—w wyobraźni tkwi pierwiastek twórczy. Nie byłoby wiekopomnych odkryć, gdyby błyski nagłych olśnień nie wskazywały drogi mozolnym dociekaniami. Mędrzec bez polotu fantazji nie stworzy nic poza suchą doktryną, która zamrze sama w sobie.

Wyobraźnia demoniczna stwarza światy zła. Ale wyobraźnia stwarza i dobro. W księgach Konfucjusza jest opowiadanie o pewnym królu, który

zobaczył byka prowadzonego na ścięcie, żeby krwią jego skropić świątynię królewską, jak nakazywał zwyczaj. Krew ścierpła mu w żyłach, serce stanęło w piersiach na widok męki zwierzęcia, które szamało się, rwało, ryczało w rozpacz, przeczuwając śmierć swoją. Nie kazał zabijać byka i odtąd na ofiarę miały być przeznaczane już tylko barany. Dlaczego?

Król sam nie wiedział. Wytłumaczył mu to uczeń Konfucjusza, Meng-Tsen: „Widziałeś królu, jak cierpi byk—nie widziałeś, jak cierpi baran Pomyśl tylko, a zrozumiesz. Wyobraźnia jest matką dobroci.”

Wyobraźnię, jako czynnik nadziei, uznał Chrystus. Cierpiącym na ziemi wskazał niebo—odpoczynek i radość wiekiustą na łonie Boga, nagrodą za krzywdy, prześladowania, poniewierkę. Wizja życia przyszłego rozpinała tęcze nad głowami konających w męce tortur pierwszych chrześcijan. Ginęli z usmiechem na ustach.

C. Walewska.



PANI KL. S. Z WIELKOPOLSKI W ODPOWIEDZI

Komentarze do mego artykułu.



odniesione w odpowiedzi p. Kl. S. na mój artykuł zarzuty każą mi przypuszczać, że w tem, co pisałam, znalazły się niedopowiedzenia, wymagające uzupełnień i komentarzy. Otóż artykuł ten był pisany z całkowitą świadomością i odpowiedzialnością za każde zawarte w nim słowo. Był prze-mysłany, przedyskutowany i ważony, bowiem chodziło w nim o jedną z najważniejszych spraw naszego „ziemskiego” życia.

Niema w nim retoryki, nic nie zostało tam powiedziane dla „pięknego słowa”, lub celem wywołania łatwego wzruszenia. Był pisany spokojnie, niemal chłodno.

Nie pozwoliłam sobie na żadne uniesienie wzburzeniem, nie dałam ujścia moim uczuciom, których doznaję, myśląc o całej, tak trudnej do rozwiązania sprawie winy i kary, — nie wypowiedziałam mego bólu wobec gehenny tych spraw u nas.

Nie chodziło mi o wywołanie nastrojów drogami, jakimi zmierza beletrystyka. Szło mi o podniesienie kwestji kary śmierci, kwestji tej, nagłej, brutalnej, straszliwej, ciężającej na sumieniu ludzkości; chodziło mi tylko o nią, zupełnie niezależnie od zbrodni, za jakie jest kara.

Z artykułu p. Zawiszy w cytatach podałam tylko te zdania, w których mieści się owo jej fatalne wezwanie. To, zdaniem mojem, przez impet oburzenia podyktowane żądanie śmierci na gwałcicieli—sprawiło, że protest p. Z. zasadniczo jaknajśluszniej zhladł, zadzwieczył mi fałszywo, obco, a nawet tak dalece wbrew moim przeświadczeniom, że pomimo unikania publicystyki, musiałam odezwać się, gdyż

milczenie w tym wypadku uważałabym za wyraz całkowitej zgody.

Gdyby artykuł mój nosił pierwotnie zamierzony nagłówek: „Parę uwag o karze śmierci”, lub gdybym we wstępie zakomunikowała, że zgadzam się z p. Zawiszą, co do ważności poruszonej przez nią sprawy, że oburza mnie narówni z nią obojętność społeczeństwa na groźne fakty gwałcenia nieletnich dziewcząt (oburza mnie zresztą wogóle niski poziom moralności, dzisiejszy spierwotniały erotyzm, obyczajowość, pozbawiona wykintu i t. d. i t. d.); gdybym napisała, że podzielałam zdziwienie p. Z. iż żaden ojciec, ani brat (a czemużby nie matka?), czy wprost człowiek, nie zareagował doraźnem ukaraniem — nawet śmiercią — gwałciciela dziewczynki — to wszystko byłoby prawdopodobnie „w porządku”. Nie spotkałby mnie szereg trochę dziwnych zarzutów i nie przypisywanoby mi myśli, jakich zgoła nie miałam.

Gdybym zaczęła była od słów: „nie w całości zgadzam się z protestem...” i t. d. artykuł mój stałby się zapewne o wiele łatwiej strawny i nie wymagałby dzisiaj popularyzujących go komentarzy.

Ale wracam do „odpowiedzi” pani Kl. S. Są w niej curiosa, — dające się w streszczeniu sprowadzić do punktów następujących. Zarzucają mi:

1) Odbieganie od tematu (tematem tym miała być dla mnie zbrodnia gwałtu).

2) „Rozczulanie” się nad gwałcicielami i branie tych „nieszczęśliwców” w obronę, a nawet solidaryzowanie się z ich zbrodnią.

3) Porównywanie ich śmierci ze śmiercią bohaterów.

Pozatem w replice p. Kl. S. dużo jest nieściśłości, dowolnych wykoszlawień moich myśli, a nawet nie-

dokładności w cytatach (czyniących myśl moją wprost bezsensowną).

Pytam, czemu Szanowna Interlokutorka, pragnąc mi odpowiedzieć, nie przeczytała uważnie mego artykułu i nie zechciała łaskawie wniknąć w jego treść? Czemu nie zastanowił jej tytuł: „na marginesach”, uzasadniający dostatecznie moje rozważanie kwestji kary, nie zaś zbrodni tej, czy innej?

Przy ponownym odczytaniu słów moich o Sokratesie i Joannie d'Arc Szanowna Pani ujrzy wyraźnie, że nie stawiam na jednej płaszczyźnie tracenienia ich z tracenieniem zbrodniarza. O coś innego tam idzie. O coś bardzo ważnego, lecz niematerialnego. Nie mam czasu na rozwinięcie tej kwestji. Proszę zrozumieć, — lub idźmy dalej.

Z tego, co poprzednio już mówiłam, wynika chyba wyraźnie, że przypisywanie mi roli obrońcy gwałcicieli jest więcej niż niezrozumieniem — zresztą, na wstępie zarzuca mi Pani sama, że nic o nich nie mówię.

Istotnie nie mówię. Najmniej mi o nich („jako takich”) chodziło. Byłabym za tem, by się nimi zajęli lekarze i policja obyczajowa, a dziewczynkami zgwałconymi, o ile są pozbawione opieki, panie, organizujące protest, dając im takie warunki materialne i wychowawcze, w jakich mogłyby wyrosnąć na dzielnych, szczęśliwych, może nawet utalentowanych ludzi.

Przy okazji zwracam jeszcze raz uwagę na konieczność stworzenia mocnej opinji, przeciwdziałającej tolerowaniu nie tylko zbrodni, ale i warunków, sprzyjających ich rozrostowi i patrzeniu przez palce na trwonienie w Polsce wszelkiego bogactwa: materialnego i duchowego.

Dla ostatecznego udobitnienia mego stanowiska dodaję: nie uznaję walki nierównej: wojna, pojedynek, turniej, zapasy takie, czy owakie, nawet indywidualne zadanie śmierci przy szansach równych oko w oko, twarzą w twarz, dają się wyrozumieć i przyjąć w sumieniu, lecz zarówno, jak skrytobójcze trzykrotne strzelanie w plecy, tak i usankcjonowane przez prawo mordowanie człowieka z wyroku sytych, dostatnich przewyższających swobodą działania, swą w danej sytuacji pozycją uprzywilejowaną i panującą — tego innego człowieka uważam za grzech przeciwko czemuś wielkiemu.

Zresztą odsyłam chętnych do mego artykułu.

Nie przypuszczałam, że słowa moje będą wymagały tylu kropek nad i. Sądziłam, że przez całkowite pominięcie w artykule treści, która była dla p. Z. zasadniczą i użycie słów jej jedynie za motto — stałam się w intencji mojej jasną.

Unikałam polemiki z p. Z. choćby dlatego, że nie chodziło mi o obronę tej czy innej zbrodni, lecz o zaczepioną przez nią sprawę karania śmiercią człowieka.

Żałuję, iż zawiodłam się na umiejętności domysłania i do-czuwania czytelniczek „Bluszczu”.

Chciałam ominąć drogi gadulstwa i zamknąć się w ramach mego tematu. Z tych też przyczyn celowo nie sięgnęłam do argumentu, leżącego tak blisko: „Jakto? Więc kobieta? Kobieta polka domaga się stosowania kary śmierci?”

Zresztą nie podzielam utartego poglądu, że wśród ludzkości przedewszystkiem kobietom przypada w udziale dobroć, delikatność uczuć i poczucie prawdy.

N. Samotyhowa.

W PRACOWNI PANI OLCI BOZNAŃSKIEJ



ędąc w Paryżu, skorzystałam ze sposobności, aby poznać najslawniejszą z polskich malarek p. Olgę Boznańską.

Zdążając w stronę jej pracowni, wysiadłam z podziemnej kolei na Bd. Montparnasse i z trudem przedostałam się przez niezliczone mnóstwo samochodów, autobusów, tramwajów i furgonów. Zewsząd biły na mnie promienie świetlnych reklam, migotały latarnie i fary, ogłuszały syreny samochodowe i potraçały tłumy, zawsze spieszących przechodniów. Ciemne schody zaprowadziły mnie do mieszkania p. Boznańskiej, złożonego z obszernej, zastawionej przeróżnymi sprzętami sieni i dużej pracowni, służącej również za pokój mieszkalny.

Z ujmująco serdeczną gościnnością przyjęła mnie w progu sama gospodyni. W szczupłej twarzy o bardzo subtelnych i regularnych rysach uderzyły mnie bystre oczy o badawczym spojrzeniu; drobna jej postać odziana była w suknię staroświeckiego kroju i nieokreślonego koloru, która pomimo śladów zniszczenia nosiła charakter dostojności i artystycznej fantazji. Zmierchało, a P. Olga kończyła właśnie pracę około dużego portretu, ustawionego na sztalugach.

Rozejrzałam się po mrocznej pracowni obwieszanej obrazami i zastawionej przeróżnymi sprzę-

tami: w jednym końcu dostrzegłam fortepian, w drugim małe łóżko, w środku obok podjum, na którym zasiada model, był ustawiony żelazny piecyk, do którego p. Boznańska coraz to dorzucała węgla, krzątając się około przygotowania herbaty.

Ja tymczasem przyglądałam się ciekawie towarzyszom i towarzyszkom naszej świetnej malarki: ulubionemu jej pieskowi, myszom i ptaszkom.

Piesek imieniem Bobby choruje już od dłuższego czasu. P. Olga wraz z siostrą pielęgnującą ulubienca na zmianę — jedna piastuje go w dzień, druga w nocy — jednak co do systemu pielęgnacji nie są zgodne obie opiekunki, co wywołuje nawet pewne, dość lekkie zresztą, tarcia między siostrami.

Ale więcej chyba jeszcze od chorej psiny lubi p. Olga myszy, których niezliczone mnóstwo hodują się w pracowni: tylko pojedyncze śmiałki pokazują się w dzień i dobiegają wieczorem do jasnego kręgu, rzucanego na podłogę przez małą lampkę naftową, zato po kątach aż się od nich roi, wędrują nieustannie po obrazach, meblach, książkach. Uprzedzona zgóry nie chciałam zdjąć płaszczka, ani kapelusza w obawie, by się nie stały pastwą gryzoniów, p. Boznańska uspokoiła mnie jednak zapewnieniem, że jej faworytki lubią nadgryzać tylko męskie kapelusze i że się ich obawiać nie należy, bo na człowieka nigdy nie wchodzi. To dodało otuchy, zresztą myszy, hojnie przez swoją panią ucztowane

garściami pokruszonej bułki, odsunęły się nieco od nas i nie przeszkadzały w rozmowie.

P. Olga Boznańska uważa się za Krakowiankę, przebywa jednak już od 25 lat w Paryżu i do kraju narazie wracać nie chce.

„Dosyć mam jeszcze sił i energii, powiada, żeby przewyciężyć trudności i znosić niewygody mego życia tutaj, nie umiałabym się pogodzić z senną vegetacją krakowską, obawiam się także smutnych wspomnień, od których Paryż mnie broni”.

Pomimo tego jednak przywiązania dla czarownego miasta o tysiącnych światłach i nieustającym tempie życia, nie przyznaje się p. Olga do sympatii dla Francuzów, razi ją ich zmysł realny, brak fantazji poetyckiej, materializm... przenosi nad nich Niemców, między którymi spędziła pierwsze lata swych malarskich studjów na Akademii w Monachjum, otoczona serdeczną sympatią profesorów i kolegów. Te lata pracy i pierwszych triumfów uważa nasza rodaczka za najszcześniejsze w swym życiu. Wtedy już jako młodzianka dziewczyna została p. Olga nagrodzona złotym medalem za prace wystawione w tymże Monachjum, także odznaczenie spotkało ją wkrótce potem w Wiedniu i we Lwowie.

Talent jej rozwijał się całkowicie po linii bujnie w owych latach rozkwitającego impresjonizmu francuskiego, dla którego barwa i światło stanowiły wyłączną treść malarstwa w przeciwstawieniu do suchego i bezbarwnego pseudoklasycyzmu.

Obrazy p. Boznańskiej to przeważnie tajemnicze harmonie rozproszonych i rozszczepionych kolorów o zatartych, mglistych konturach. portrety jej pendzla odtwarzają z niezmierną subtelnością istotę modela i to raczej jego istotę duchową, aniżeli barwy i kształty. Wszystkie jej płótna mają swój zupełnie odrębny charakter, świadczący o wybitnej indywidualności artystki, a każde pociągnięcie jej ręki przemawia do nas żywą poezją i rzewną tęsknotą.

Tym właśnie wielkim talentem i niestrudzoną pracą zdołała p. Olga, chociaż kobieta i cudzoziemka, zdobyć sławę i wywalczyć sobie stanowisko tutaj w tej dumnej „Ville Lumière“, gdzie tyle innych dobijało się o to napróżno.

Obrazy jej zajmują zaszczytne miejsce na do rocznych wystawach w Tuillerie i Palais de Bois Ameryka odznaczyła ją również złotym medalem za prace wystawione w Pittsburgu, a Rząd Francuski zakupił trzy jej portrety do Musée du Luxembourg.

Pomimo to wszystko nie posiada jednak nasza artystka ani majątku, ani nawet zapewnionego bytu, ponieważ nigdy o to nie dbała i teraz nie dba, wyrzekając się nawet obsługi, któraby ją wyręczyć mogła w spełnianiu chociaż najgrubszych robót.

Malarstwa współczesnego nie lubi p. Olga, prawie go też nie zna, bo się niemi nie interesuje; podciąga wszystkie nowe kierunki pod nazwę kubizmu i twierdzi, że owi kubiści są może dobrymi uczonymi, matematykami, ale w każdym razie nie artystami.

Z malarzy polskich ceni najwięcej Wyczółkowski i przyznaje dużo talentu Axentowiczowi, talentu niestety spaczono przez zbytnią chęć dogodzenia publiczności. — Malczewski, jej zdaniem, to świetny rysownik i poeta, ale nie kolorysta.

W pewnej chwili oświadczyła mi p. Olga, że niepotrzebnie przyszła na świat, a gdy temu żywo zaprzeczyłam, podkreślając wartość twórczego drżenia jej żywota, przyznała mi się, że wolałaby po sobie nic nie zostawić, bo nie ma zaufania do ludzi, a bardzo kocha swoje malarstwo.

„Jestem wielką egoistką, dodała z łagodnym uśmiechem, który był zaprzeczeniem jej własnych słów, i szczerze bym pragnęła, aby razem ze mną zeszło z tego świata wszystko, co kiedykolwiek stworzyłam — niestety, to próżne marzenia”.

Na zakończenie podzieliła się p. Olga ze mną swoim wielkim zmartwieniem, a mianowicie tem, że myszy znalazły sposób przedostania się do fortepianu, gdzie zapewne objadają sukrem obite młoteczki, niesyte poczęstunkami chleba i makaronu.

Spytałam, czy nigdy na myśl jej nie przychodzi wziąć sobie kota, któryby myszy wytępił? — „Przenigdy, zawołała p. Olga, to takie sympatyczne zwierzątka!”

Opuściłam p. O. Boznańską pod głębokim wrażeniem uroku jej osoby, tak zasadniczo różnej w swej istocie od zaferowanego głumu Francuzów na wyiskrzonym paryskim bulwarze. W. Czapska.

NOWA ŚWIĘTA

Książka*), którą znana powieściopisarka i poetka poświęca swej rodaczce (obie są Normandkami), jest „hołdem duszy niewierzącej dla ducha Karmelitanki, jawiącej się z rękami róż pełnymi wśród epoki, doprowadzającej do rozpaczony poetów.”

Pani Delarue - Mardrus stara się krytyczną analizą swego bystrego umysłu przeniknąć, zrozumieć, drugim wytłumaczyć tę niezwykłą dla ludzi zwykłych psychikę — świętej.

* * *

Nowa kanonizacja! Tem sensacyjniejsza, że Watykan nie zawahał się przed złamaniem reguły, nakazującej, aby 50 lat upłynęło od śmierci kandydatki. Siostra Teresa umarła przed 25 laty, żyje jeszcze mnóstwo osób, co ją znały. To może właśnie pociąga wiernych! Modlą się do niej, jakby mówili do

osoby żywej. Zachwyca również urok piękności tej istoty, zgasłej w kwiecie wieku. Ci, co widzieli ją na łożu śmierci, zapomnieć tego nie mogą.

Życiorys jej da się streścić w kilku słowach: Teresa Martin urodziła się w Alençon w r. 1874, z rodziny zamożnej, zatrudnionej przemysłem koronkarskim (point d'Alençon). Rodzice jej oboje mieli w młodości powołanie zakonne. Teresa była ich dziewiątym dzieckiem. Czworo jej rodzeństwa umarło wcześniej, pozostałe 5 córek, wszystkie wstąpiły do klasztoru.

Osierocona przez matkę, pieszczona przez ojca, który ją „małą królową” nazywał, dziewczynka śliczna, jasnowłosa, bardzo inteligentna, już w dzieciątym roku życia „postaćowała sobie” zostać świętą.

*) Lucie Delarue - Mardrus: Sainte Thérèse de Lisieux E. Pasquelle, Paris, 1926.

W czternastym zapragnęła wstąpić do klasztoru Karmelitanek w Lisieux, miasteczku, gdzie mieszkała. Była już tam jej starsza siostra. Jako niepełnoletnią, zakon nie mógł jej przyjąć. Uparte dziecko zwraca swą prośbę do samego papieża, Leona XIII, przełamując uroczysty ceremoniał audjencji.

„Wejdiesz do klasztoru, gdy Bóg tego zechce,” odrzekł papież. — Niezwykła dziewczeczka zrobiła jednak takie wrażenie na władzach duchownych, że wnet udało się jej przeprowadzić swój zamiar.

Oblekła welon, nie skończywszy jeszcze lat piętnastu. W dziewięć lat później zgasła, wyczerpana ciężkimi warunkami życia zakonnego i dobrowolnymi umartwieniami, strawiona gruźlicą, pozostawiając niezatarte wspomnienia dobroci, pogody i żarliwej pobożności.

Oto wszystko.

Nie była to orlica, jak wielka Teresa z Avila.

Twierdzili pisarze i to ultra katolicy, że takich świętobliwych mniszeczek setki znaleźć można było w miastach francuskich klasztorów i że Watykan wybrał pierwszą lepszą z nich, by grozie bolszewizmu i niewiary przeciwstawić żywą, działającą na uczucia tłumów, świętość.

Pani Delarue staje żywo w obronie swojej „rodaczki”.

Sława świętej „Tereski” nie datuje się od jej kanonizacji, przeciwnie, dekret, ogłaszający ją świętą, został spowodowany i przyspieszony przez jej niezwykłą sławę. Już w chwili jej zgonu zaczęła się szerzyć legenda. Skwapliwie zbierano jej ostatnie słowa, a słowa te były właśnie takie, jakich łaknęły serca, były pełne pociechy:

„Gdy pójdę do nieba, zeszlę na ziemię deszcz róż.”

„W niebie myśleć będę o czynieniu dobrze na ziemi. Je passerai mon ciel a faire du bien sur la terre. Odpocznę chyba wtedy, gdy koniec świata nastanie”.

I jeszcze to niezwykłe słowo, rzucone w agonii już siostram, pytającym ze łzami, czy tam z nieba spoglądać na nie będzie?

„Zejdę ku wam”.

„Je descendrai”.

* * *

Sprowadziła na ziemię tę świętą Wielka Wojna. Służąca z folwarczku, gdzie mieszkała autorka, opowiadała jej z naiwną wiarą:

„Już nikt z naszych ludzi nie zginie na wojnie.”

Była z pielgrzymką u grobu Karmelitanki w Lisieux i tam, tak jak inni, napisała ołówkiem na kartce swą prośbę i zakopała ją głęboko w ziemi mogilnej, aby święta, mając ją tak blisko, przeczytała i wysłuchała.

„Została świętą, bo tak chcieli żołnierze” — taki jest głos powszechny.

Choć proces o uznanie „heroicznych cnót” siostry Teresy ciągnął się od roku 1909, dopiero w r. 1916 uznano ją za Czcigodną, w 1920 — Błogosławioną, w r. 1924, po stwierdzeniu cudów, za Świętą.

Tymczasem od pierwszych lat wojny żołnierz w okopach miał za talizman obrazek, lub medalik „małej świętej”. Przekładał ją, rzecz ciekawa, nad Joannę d'Arc. — Ta jasna dziewczeczka z różami w rękach miała dlań więcej uroku od rycerki. „Joanna — to militarizm, Teresa — to pacyfizm.”

* * *

Pani Delarue chciała odnaleźć duszę świętej panią w jej własnym kraju udała się do bliskiego Lisieux. Jakież rozczarowani, Na świętości mias-

teczko robi interes i profanuje ją. Dość powiedzieć, że na dworcu sprzedają likier: Theressette, a w sklepach pasztet św. Teresy i wędliny „boudin de St. Thérèse.” Okropność!

W kaplicy jest figurka świętej „w naturalnych kolorach,” w sukni z aksamitu brązowego ze złotymi koronkami i w płaszczu, wysadzonym drogiemi kamieniami. „Takie suknie będziemy nosić w rajul!” odpowie naiwnie zakonniczka.

Kaplica jest oświetlona elektrycznością (świec nie można palić, boby czerniły błyskotki i sztuczne kwiaty).

— „Obiecałaś nam spuścić deszcz róż na ziemię, petite Thérèse — wdycha autorka — ale nie myślałaś, że to będą róże sztuczne!...”

* * *

Od naiwnych przejawów dewocji ucieka do innego źródła, do słów samej świętej, jej autobiografii, spisanej na życzenie przełożonej, a która po jej śmierci tłumaczona na 35 języków, dała pierwszy asumpt do uznania jej świętości. Tytuł jej: Historia duszy.

W tych prostych, pensjonarskim stylem skreślonych, a jednak przedziwnych nieraz zapiskach, odnajduje autorka klucz zagadki, czemu „mała Martin” musiała zostać świętą.

„Dusza Teresy Martin była, od chwili jej urodzenia, potężnym akumulatorem radjum, jeśli wolno nam użyć tego wyrażenia.”

Mistyczne powołanie obojga rodziców niedopełnione, nastrój całego domu skoncentrowały się z całą siłą w tej duszy. Przeflancowana na grunt inny, byłaby może wielką twórczynią, uczoną. Los, lub, jak wierzą wierzący, Opatrzność, skierował ją w stronę świętości i dał jej, nawet z świeckiego punktu widzenia, lepszą część, bo jakaż sława da się porównać z jej wpływem?”

„Wierzę — spowiada się sceptyczka — we wpływ świętych i wierzę, że w kaplicy w Lisieux, mimo jej złego gustu, dzieć się będą cuda. Kto przyjdzie tam z wiarą, odejdzie dzięki mistycznemu fluidowi, przepelniającemu ten przybytek, pocieszony i uzdrowiony!”

Kobieta świecka cofa się mimowoli przed pewną „nieładnością” świętości, przed wyrzeczeniem się wszelkich uczuć osobistych. (Ojciec Martin, mając pięć córek w klasztorze, zmarł po długiej chorobie, na obcych rękach).

Asceza, barokowe przejawy mistycznej miłości ku Boskiemu Dzieciątku, to wszystko jest niezrozumiałe i dziwne dla pisarki nowoczesnej.

Ale zarazem uważa ona, że „tysiącna cząsteczka owego ludzkiego radjum, które owo młode stworzenie użyło w straszliwym wysiłku dla zwyciężenia swej ludzkiej słabości dla miłości Niewidzialnego, wystarczyłaby, aby w nas spalić brzydkość egoizmu, twardość serca, lekceważenie bliźnich, wszystkie wady, będące powodem neurastenji i brutalności naszego wieku — i wszystkich wieków.

„Ze zdań, wyjętych z tej pokornej książeczki, możnaby utworzyć rodzaj „Naśladowania”, któreby pomogło, kobietom zwłaszcza, stać się już nie świętymi, ale — lepszymi.”

„Nauczyć „czarującej wesołości” małej świętej, jej panowania nad sobą, „self control” i tej prawdziwej miłości bliźniego, która zaczyna się od błahych drobiazgów codzienności...

„I to lekarstwo — dodaje — śmiem twierdzić, jest nas potrzebne, a może nawet — niezbędne!”

K. B.

JAN BRZECHWA

NAD RZEKĄ

*Nie wiedziałem, że będziesz dziś na mnie czekała,
 Przeczulem jeno dziwnym niepokojem ciała,
 Tęsknotę twą znużoną, co gdzieś niedaleko,
 Trwa właśnie o tej porze i właśnie nad rzeką,
 I jakiś ciężar serce przytłoczył mi we śnie,
 Jakgdybym był topielcem i dnem jednocześnie,
 Topielcem, co się myślą pociesza bezwiedną,
 Że miłość twoja przetrwa i dno i bezedno,
 I będzie tak żarliwa, że sny nieopatrzne
 Odeśnią się, — a może i ja kochać zacznę.*

*Poznałem cię po braku jakichkolwiek śladów.
 Którędy się skradałaś, że aromat sadów,
 Wyprzedził woń, zawczasu rozplecionych włosów,
 I głos twój pośród czyich zatracił się głosów?
 Poznałem cię po cieniu, co padł nie od ciebie,
 Jeno od pewnej chmury, płynącej po niebie,
 Tak właśnie, jakby w twoim przejrzała się cieniu,
 Że mógłbym ją z łatwością nazwać po imieniu,
 I znąkom jej posłuszny zbiegłem na wybrzeże,
 I myślę, czy mi wierzysz, jak ja chmurom wierzę.*

*Myślę, bo przesłonięte nocy mgłą jedwabną
 Spojrzenia twe się łamią i łamiąc się — słabną,
 Bo wszystko, co ci mówię naprzemian śród nocy,
 Jest pełne jakiejś grozy i jakiejś niemocy,
 A tak cię, snąc, oniemia rozmowa zawiła,
 Że nic nie odpowiadasz, — jakgdybyś nie była,
 Że, zda się, jesteś zwiewną wystanką topieli,
 Tak wszystko nas oddala i wszystko nas dzieli,
 I wszystko między nami przemija na wieki...
 — Pewno dzisiaj ktoś umarł z tamtej strony rzeki.*



HELENA CEYSINGERÓWNA

MYŚL O TEM CO CHCESZ

5

(nowela)

— Ja myślę, że to być musi. Niech panna Klementyna opowie mu, co widziała, prawda, mamó?— powoli i z namysłem rzekła p. Marja.

Staruszka skinęła głową.

Poszłam więc z p. Tomaszem do kancelarii. Zastałam eleganckiego oficera, o bardzo bystrem i przenikliwym spojrzeniu. Rozmowę prowadziliśmy, oczywiście, po rosyjsku. Miałam złoty medal z ukończenia gimnazjum, więc wyrażałam się w urzędowym języku poprawnie, co rotmistrzowi robiło widoczną przyjemność.

Kierowana kobiecą intuicją, potraktowałam oskarżenie Syrucia bardzo lekko, twierdząc, że wiedza pozytywna wszystkie tego rodzaju przywidzenia zakwalifikowała już dawno, jako objawy choroby umysłowej. Było to zresztą zgodne z ówczesnym moim przekonaniem.

Biednemu człowiekowi—mówiłam—na starość pomieszały się widać zmysły.

Oficer kiwnął głową.

— No, może to być—rzekł—ale bywa i inaczej.

— Czyżby pan, człowiek inteligentny dzielił przesady ludowe?—I śmiałam mu się w oczy.

— Widzi pani, ja jestem z Kurlandji. Tam ło tysze takich dziwów dokonywać potrafią, że się o nich ani uczonym, ani policji nie śniło!

Uśmiechnęłam się sceptycznie.

— Pani nie wierzy?

— Nie.

— No, a widziała pani duszę tego Syrucia..

— Dusze? Nie. Widziałam jego twarz za szybą, jak podglądał nas, gdyśmy się zabawiali w seans spirytystyczny.

— Więc to była zabawa?

— Naturalnie! A cóżby to mogło być?!

— No dobrze, a czy pani widziała twarz tylko, czy całą postać?

— Widziałam tylko twarz. Reszta postaci pograżona była w ciemności.

— Widzi pani, a on twierdzi, że fizycznym ciałem swoim nie ruszał się tego wieczora z domu, i co ważniejsza to samo zeznaje jego córka, która zdaje się być zupełnie przy zdrowych zmysłach. Więc był tam. A pani go widziała w Zalesiu. Ot i są czary!

Śmiał się, tryumfującym wzrokiem patrząc na mnie.

— Cóż pani teraz powie?

— Powiem, że dla niewiadomych mi celów kłamią oboje.

— Może i to być, potwierdził, śmiejąc się Einhorn. Pani jest bardzo bystra i przytomna. A teraz proszę mi powiedzieć, przy której szybie od dołu widziała pani twarz tego czarownika?

— Przy drugiej—rzekłam po namysle.

— Otóż widzi pani, gdyby Syruc przybył był do Zalesia tego wieczoru fizycznym swoim ciałem, musiałby go wpuścić stróż nocny, który ma klucz od bramy, a stróż go nie widział, prawda?—zwrócił się do pana Wazgirda.

— Tak, stróż zapewnia, że nikogo obcego nie wpuszczał tego wieczoru.

— Przypuściwszy nawet, że się wśliznął nie-dojrzany przez służbę, psy dałyby znać o obcym przybyszu zwykłym ujadaniem.

— Psy były bardzo niespokojne tej nocy—rzekłam—słyszałam parę razy ich wycie...

— Głuche, przeciągłe wycie—przerwał Einhorn—to z innego powodu! Na obcego człowieka psy nie wyją, proszę pani, ale szczekają. Wyją, gdy zobaczą widmo, ducha, stracha, czy jakkolwiek nazywają się takie zjawiska.

— Pan rotmistrz żartuje doprawdy! Nie wierzę, żeby pan rzeczy takie brał na serio.

Istotnie półuśmiezek błakał się po ustach żandarma, gdy tak w sposób towarzyski gawędził ze mną.

— A powtóre ciągnął dalej uprzejmie—nawet człowiek jego wzrostu, stojąc na ziemi nie dosięgnie głową pierwszej szyby okna. Cóż dopiero mówić o drugiej?! Właśnie próbowaliśmy z panem Wazgirdem. Ja jestem prawie równie wysoki, jak ten Syruc, a nie mógłbym zajrzeć do państwa. Musiałby chyba Syruc przystawiać drabinę, a rzecz znów nieprawdopodobna, by służba tego nie dostrzegła. Stróż podobno tej nocy kilka razy obchodził dwór dokoła, zaniepokojony niezwykłym światłem, które biło z okien. Nie widział on ani drabiny, ani Syrucia.

— Więc—rzekłam ironicznie—Syruc nie mógł dostać głową do okna, a dusza jego mogła...

— A dusza mogła!—przeciągłe akcentował żandarm.—Dusza bardzo wiele może...

Zapadło milczenie.

— A czy mogłaby mi pani powiedzieć, co pani widziała na tym seansie?

— Ach, nic prawie, odpowiedziałam, odważnie hrnąc w kłamstwo, bo zdawało mi się, że tak będzie bezpieczniej nietylko dla mojej teorii, ale i dla moich przyjaciół.

— Przecież jednak, cośkolwiek...

— Widziałam tylko drobne światełka, co uważam za złudzenie optyczne, spowodowane natężeniem wzroku i oczekiwaniem...

— A Syruc opowiada takie nadzwyczajności..

— A to już fantazja ludowa, albo raczej fantazja chorego umysłu...

— Dziękuję pani.

Podziękowanie to uznałam za pożegnanie i, podawszy końce palców żandarmowi, wybiegłam z kancelarii.

W jadalni nie było już nikogo, poszłam więc do pokoju babuni. Modliła się. Przysiadłszy na staroświeckiej skrzyni przy drzwiach, czekałam, rozmyślając nad tą dziwną sprawą. Po jakimś czasie wszedł p. Tomasz z p. Marją. Babunia powstała z klęcznika.

— Jakże poszło?—spytała, spoglądając na mnie i na pana Tomasza.

— Doskonale! Panna Tyna, to zacieklea pozytywistka, nie wierzy w żadne czary, w żadne duchy, nic nie widziała.. A bronila swojej tezy z taką pewnością siebie, że zachwiała, jak się zdaje, podejrzeniami tego żandarmskiego psychologa.

— Kochane dziecko!—rzekła staruszka tonem, który miał w sobie dużo wdzięczności, ale i nieco współczucia.

Marja siedziała na fotelu, z powiekami spuszczone na oczy. Wyczułam, że ona tu w tej chwili jest czemś w rodzaju podsądnej przed rodzinnym

trybunałem i wyszłam, mówiąc, że dzieci mnie szukają. Już z drugiego pokoju słyszałam, jak mówiła:

— ...Gdybym tej szatańskiej duszy nie trzymała na uwięzi...

To jednak jest kraj warjatów! — pomyślałam z goryczą.

— Jaki był wynik narady familijnej nie dowiedziałam się. Raz tylko wpadły mi w uszy słowa p. Tomasza, będące, jak mi się zdawało, w związku ze sprawą Syrucia: „ja, matuchno, gotów jestem w każdej chwili do wyjazdu na północ... ale mi ziemie żal...”

I płynęły znów dni za dniami ciche, jednostajne, pozornie bez żadnych ech przeszłości i bez żadnych gróźb na przyszłość.

Dopiero na kilkanaście dni przed Bożem Narodzeniem, gdy w pokoju pani Marji robiłyśmy notaty z jakiegoś angielskiego filozofa, weszła nagle kobieta młoda, ubogo ubrana, w chustce na głowie i, nic nie mówiąc, stanęła u proga. Nie pochyliła się do nóg dziedziczki, nie pocałowała w rękę, jak zwykły wtedy jeszcze czynić właścianki, a nawet i ubogie szlachcianki tamtejsze...

Pani Marja spojrzała... i odrazu dostrzegłam na jej twarzy piorunujące wprost wrażenie. Nie mogła przemówić. Dopiero, po pewnej chwili, gardłowym głosem, zacinając się, pytała.

— Czego chcecie?... po co... przychodzicie tutaj?...

— Pani — rzekła kobieta, odsłaniając nieco twarz bladą, smutną i zmizerowaną, ale niezmiernie sympatyczną i inteligentną — przychodzę prosić na wszystko, co macie świętego! przebaczenie wy raz starem! Już jemu niedługo do ziemi, a dusza jego nie może zaznać spokoju, ani tu na tym świecie, ani pewno nie zazna na tamtym.

— Judasz nie zaznał nigdy spokoju — odrzekła pani Marja.

— Ale też nie może być większej męki nad jego mękę! — zawołała kobieta. Zaraz w pierwszej chwili, domyślając się, że jest to coś z ponurego królestwa tajemnic domowych, chciałam wyjść, ale Marja zatrzymała mnie za rękę.

Kobieta mówiła dalej zawodzącym tonem:

— Ani jemu nocy spokojnej, bo sny go męczą straszliwe, ani dnia cichego, bo pamięć zawsze jedno przed oczy powraca, ani pociechy znikąd, ani dobrego słowa od nikajęgo bądź człowieka! Książę go odpędził od spowiedzi i niema dla niego miłosierdzia za życia, ani po śmierci nie będzie... jedno to moje... bom ja mu przebaczyła...

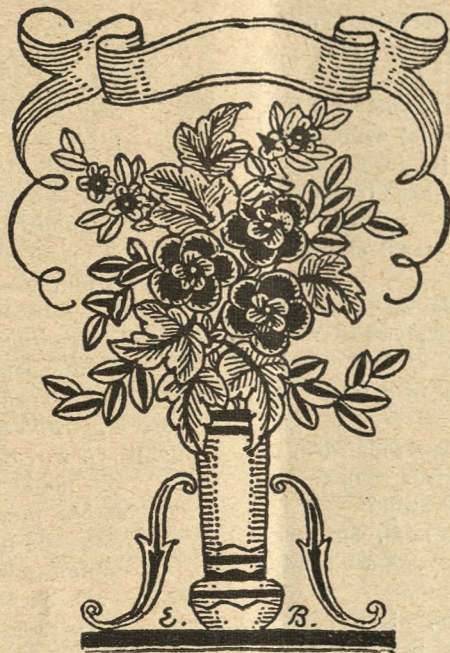
— Przebaczyłaś! — szepnęła urągliwie pani.

— Przebaczyłam dla jego starości i dla tego potępienia wiecznego, które go czeka... przebaczyłam, bom tak myślała, że to będzie niby kropla wody wśród spieki piekielnej... przebaczyłam, choć ból mego serca niezmierny był, większy może, niż wasz, pani!... bo nie wie nikt... ile jest siły w takim niewzajemnym kochaniu!... Przebaczyłam mu i tamto... i to pomstowanie ludzkie na nas, że to przecie ojciec... i śmierć mego najstarszego dziecka...

— Ja śmierci twego dziecka niewinna!

— Ale klątwa winna! boście wykłeli nas do dziesiątego pokolenia!... I tak też idzie wszystko. Porzucił mnie mąż i wyjechał do Ameryki przed tem urągowskiem ludzkim; umarło mi moje najstarsze, spalił się dom, gospodarka się nie wiezie, nędza, głód, choroba, kara Boska... i tak nam się zdaje, że to wy, pani, wciąż tą nienawidzącą duszą chodzicie za nami, dzień i noc, dzień i noc i niema już wytrzymania żadnego... przwjdzie chyba do wody się rzucić...

Tak i przyszłam, pani, prosić was: rzeknijcie wy to słowo: przebaczam! (c. d. n.)



MAGDALENA SAMOZWANIEC

MARGRABINA DE BOIS DE BOULOGNE

5

(Grotteska w 3-ach aktach).

(Niemowa, porwany ogólnym nastrojem, zaczyna nagle grać na katarynce).

FR. (zrywa się). Oh mon Dieu! Moje uszy! Quel bruit! Misericorde!

ADZIK do niemowy. Cicho tam! (rozmawia z Francuską).

PANI A. No, no, więcej grzeczności dla Lorda!

ANTONI He, he, he, dobrze Jaśnie Pani mówi. Proszę Jaśnie Pana siadać. (Niemowa siada). A coby Jaśnie pan zjadł?

Pewnie wódki? Co?

NIEMOWA. Wódki, to owszem. Nie, co ja mówię — chciałem powiedzieć a, be, papapa prt.

ANTONI. (wrozumiale). E, Antoni nie pierwszy raz z niemowami gada... Ale wódki, po prawdzie, to Antoni nie da. Bo niema. Ostatek wypił nasz pan profesor. O, już — ci idzie!

Proszę, Jaśnie Pani, czy będziemy w domu dla Pana profesora?

PANI A. Nie wiem, nie wiem — tak jestem nieusposobiona — chociaż zresztą (strzela jej myśl genitalna), dobrze, niech Antoni poprosi. —

Proszę cię, Adziku, idź, i zabierz też tę panią. To do mnie goście. (Adzik po krótkiej rozmowie z Fr. odchodzi z nią na lewo).

ANTONI niech odstawi na ulicę tego durnia, wątpię, by był jeszcze potrzebny. Na pana niema rady. (dzwonek). Dać mu 10 groszy. (Antoni odprowadza bocznem wejściem niemowę Po sekundzie wraca).

ANTONI. (drepcząc). E, co to nowego, że u naszego pana to tam z rozumem... (wzrusza ramionami). Ot, stara historia

szkoda słów Antoniego. (Dzwonek). (Antoni idzie do drzwi, puszcza starego pana, który powoli zdejmuje w drzwiach kalesze).

STARY PAN. (kasząc). Czy można?

ANTONI Pewnie. (z ironją). U nas to bez tego dzisiaj dom zajezdny.

(Stary pan wchodzi, wita się, ślada.) Całuję rączki. A kawka będzie?

ANTONI. (ględzi). A żeby nie było, to co? Dobrze, że Antoni daje, ale gdyby Antoni nie dał? (idzie po kawę).

STARY PAN — ładne porządki dziś u was. He, he, he. Trzy razy dzwoniłem. To jest dwa, dwa razy. Jakies nowe mody. O, kawka. (Antoni przynosi filiżankę czarnej kawy). Dziękuję, mój Antoni.

ANTONI. (mruczy). Dziękuję, dziękuję, e, to każdy potrafi (odchodzi).

STARY PAN. Um, kawka zimna! Ja się pytam, co się dziś stało, droga pani Marto.

PANI A. Ach, proszę pana! Właśnie mam w głowie dziś czarną kawę. — Dajcie mi wszyscy spokój. — Cały dom u nas dziś do góry nogami.

S. PAN. Taak. Nogami. No tak. Do góry. A mnie to tak znowu ta noga boli — w dodatku jak na złość: prawa. (wyciąga nogę).

PANI A. (ze smutkiem). E, proszę pana! Większe nieszczęścia chodzą po ludziach, niż nogi. Jestem w takiej sytuacji, że nie wiem, co robić. Mój mąż z litości, jak to on, bo on dla obcych zawsze pełen serca, przygarnął jakąś francuzicę z pod ciemnej gwiazdy...

S. PAN — z pod ciemnej. A ta czarna kawa, to jakaś taka jasna dzisiaj...

PANI A. I niech pan sobie wystawi, rozsiadła się u nas, jak u siebie. Ach, ja nie mam najmniejszego wpływu na mego męża...

S. PAN. Wpływu... a, a tej dobrej wódeczki, co to była kiedyś, to już niema?

PANI A. Ale co tam wódka, proszę pana. Więc widzi pan, ja myślę, że Adzik dlatego sobie ze mnie nic nie robi, że dotychczas nie miał mi nic do zarzucenia. Prawda?

S. PAN. Proszę, niech mi pani zarzuci szal na nogi, bo przepraszam, ale tak marzną... co tu dziś nie palono u was czy co?

PANI A. (zarzucając szal). Proszę pana. Błagam, niech pan to zrobi dla mnie i pomoże mi odegrać małą komedijkę. Tu chodzi o tę francuzkę.

S. PAN. A pani wie, że franki znowu spadły?

PANI A. (zniecierpliwiona). Ależ pan mnie nie słucha! Więc widzi pan, ja chcę (ciszej), by Adzik był zazdrosny o mnie, by pomyślał, że nas, to jest mnie i pana coś łączy więcej..

S. PAN. (robiąc trąbkę nad uchem). Jak?

PANI A. Coś więcej łączy.

S. PAN. (z westchnieniem). Ta coby nas miało łączyć panie. — Joj, jaka ta kawa zimna!

PANI A. Więc ja panu powiem, tylko cicho, bo nie chcę, żeby mnie mój mąż słyszał, jest obok w pokoju. Więc poprostu, jak on będzie wchodził, niech... niech pan udaje, że mnie pan chwyta w objęcia i całuje.

S. PAN. Proszę głośniej, bo nic nie słyszę.

PANI A. (cicho). Nie mogę głośniej, bo mój mąż jest obok w pokoju (ciszej). Więc, jak Adzik będzie wchodził.

S. PAN. (równocześnie głośno). Co?

PANI A. (cicho). Jak Adzio.

S. PAN. (równocześnie głośno). Co?

PANI A. (w rozpaczy). Pan mnie... pocałuj.

S. PAN. (równocześnie). Gdzie?

PANI A. (cicho). Tak, żeby Adzio widział.

S. PAN. (równocześnie). Co?

PANI A. (ziewając głowę). Nie, to z tego nic nie będzie. Trudno. Muszę się wyrzec zemsty. Niech los sam czyni sprawiedliwość (patrzy beznadziejnie w okno).

S. PAN. (tłumacząc się). Ja, to teraz tak nie dosłyszę, że nieraz mi się zdarza, że coś ciekawego opowiadam i ledwie coś z tego sam słyszę. A szkoda panie, szkoda.

(Wraca Adzik zdenerwowany).

ADZIK. Moja droga, zajmij się na chwilę tą francuzką, bo mi tak przeszkadza, że nie mogę pisać, a wiesz, że to rzeczy waż... Ja nie mam czasu na bawienie gości... Zmiłuj się chwilę, taka miła osoba... taka obyta — znała i używała wszystkich części świata... mówiła mi... o jak mnie kości bolą od tego spania na 3 krzesłach.

PANI A. Zwarjowałeś. Wogóle, póki jej nie wyrzucisz, nie odzywaj się do mnie. Bo to, że ja ją wyrzucam, to nic nie znaczy...

S. PAN. (ze swego fotela). Ja się z tobą nie witam, bośmy się wczoraj widzieli, ale ci powiem — tu coś nie w porządku, pani nie w humorze, kawa zimna. Ja już uciekam. Mnie już z tego wszystkiego noga boli. Guwernantkę wzięłeś, przele dla takiego małego dziecka, co to go jeszcze niania, to niania lepsza...

Wchodzi dziewczynka z dużym pudłem rzemiennym.

PANI A. A to co? To pomyłka. Skądże? Nic o tem nie wiem. A nie, rzeczywiście, adres jest dokładny — co to może być Adziku? Jakaś niespodzianka dla mnie?

ADZIK. (skonfundowany). Ależ nie, nie, to nic, głupstwo, ajej, czemu panienka tędy... proszę, to do mojego pokoju, o tam (dziewczynka znika).

PANI A. (tragicznie). Co to znowu znaczy? Chcę wiedzieć.

ADZIK. (j. w.). No cóż, no musiałam, to do wyboru, ona przecie nie ma co włożyć... pomyśl, ile ty miałaś już sukien w życiu! A ona mówi, że przez sam szacunek dla naszego domu musi się przyzwyczajcie ubierać — jak musi! Zresztą, ja nie umiem odmawiać — to trudno.

PANI A. (z gorączką). O, mnie umiałaś świetnie odmawiać różnych rzeczy!

ADZIK. No tak, ale ty nie jesteś obca!

PANI A. Dosyć tego! Idę poszukać sobie pensjonatu na mieście. Chodźmy razem, panie Józefie kochany. Pan się zaopiekuje biedną kobietą bez dachu. Dosyć!

ADZIK. Ależ zmiłuj się! Co ja takiego zrobiłem? za co to wszystkimo? Za to, że mam serce?

S. PAN. (równocześnie). A niech pani weźmie parasol, bo strasznie kapie z dachów...

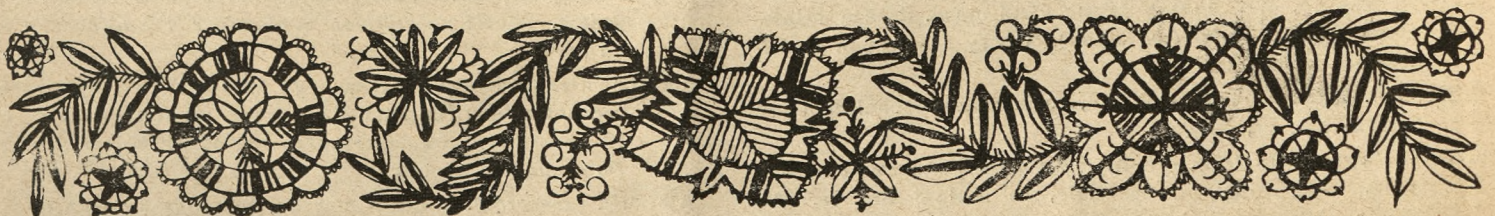
PANI A. Żegnam. Zaraz, tylko płaszcz mój, Antoni.

Gdzie mój płaszcz i rękawiczki. Kapelusz — dobrze. Proszę na mnie nie czekać, ani mnie nie szukać. (Adzik chce ją zatrzymać). Nie zbliżać się do mnie! Idź do swojej markizy! (wychodzą razem). Przepraszam, jeszcze portmonetka. Żegnam! — Do widzenia, mój Antoni. Wszystko mogłam darować, ale tego już nie (wychodzą).

AN. Całuję rączki Jaśnie Pani.

ADZIK. (pada na krzesło z rozpaczą). Co ja teraz zrobię. Masz tobie. Ach, wszystko się wali!

(c. d. n.)



RUDYARD KIPLING

PODOBÓJ SIEDZIBY

(AN HABITATION ENFORCED)

Cloke'owie byli bardziej rozmowni. Tegoż wieczoru i potem w ciągu tygodnia udzielili Chapinom oficjalnych wiadomości z historii Friars Pardon, dworu i pięciu folwarków w sposób, w jaki się objaśnia przygodnych lokatorów. Ale Zosia tak bardzo umiała wypytywać, Jerzy tak był serdecznie zainteresowany, że, gdy zaufanie do cudzoziemców wzrosło, gospodarze wypłynęli ze szczegółami, znanymi im z widzenia, lub słyszenia, a tyczącymi narodzin, zgonów i działalności członków rodu Elphick Moon, oraz skoliigaconych z nimi Haylingów i Torrellów.

Była to opowieść, snuta całymi serjami przez Cloke'a w stodole, albo przez jego żonę w mleczarni. Ostatnie rozdziały zachowywano na wieczory w kuchni przy kominku.

Chapinowie zasiadali zmęczeni całodzienną, odkrywczą wędrówką po starym dworze, gdzie ojciec Czas Iggulden paplał i chichotał uszczęśliwiony z ich widoku.

Fata, które miały bohaterami opowieści, były to im dwojgu zupełnie nieznane bogi, motywy rządzące charakterami—niepojęte; światła, jakie pani Cloke rzucała na czyny, lub zdarzenia—rekordowo zdumiewające. Stąd też młodzi słuchali uszczęśliwieni, błogosławiąc panią Shonts.

— Ale czemu, czemu, czemu ten, a ten postąpił tak, a tak?—pytała Zosia, siedząc na swem zwykłym miejscu pod wieszadłem na rondle, a pani Cloke, gładząc kolana, odpowiadała niezmiennie:— dla dobra ziemi.

— Nic nie rozumiem—mówił Jerzy wieczorem na górze.—W tym kraju ludzie nic nie znaczą w porównaniu z miejscem, które zamieszkują. W interpretacji pani Cloke Friars Pardon to rodzaj Molocha.

— Miły, stary dom! nic dziwnego, że był taki kochany. Pomyśl, ile dla niego dokonano poświęceń. Joanna Elphick wyszła za młodszego Torrella tylko dlatego, aby utrzymać ziemię w rodzinie. Osmio-kątna salka ze sztukaterją na suficie, obok dużej sypialni, była jej pokojem. A co stary opowiadał ci przy karmieniu świń?..

— Mówił o krewnych Torrellów, o jakimś ich wuju, który umarł na Jawie, a mieszkał w Burnt House poza lasem Wysoki Pardon, tam, gdzie jest zatamowany potoczek.

— Ależ nie. Burnt House jest przed lasem Wysoki Pardon, nie dochodząc do Gale Anstey—rektyfikowała pani Zosia.

— Przecież stary Cloke mówił..

Tu Zosia otworzyła drzwi i zawołała wdół do kuchni, gdzie małżonkowie zabierali się już do wygaszania ognia.—Pani Cloke! Czy Burnt House jest przed lasem Wysoki Pardon?..

— Ma się rozumieć, kochanie!—doleciał głos słodko, a w roztargnieniu... potem kaszelek...—Przepraszam, o co pani pytała?

— Nic nie szkodzi, wolę pierwszą odpowiedź—zaśmiała się Zosia i, przysiadłszy na łóżku, słuchała, jak Jerzy opowiadał brakujący rozdział opowieści.

— Dziś tu, jutro tam!—ostrzegał Cloke żonę. Zapłacili pierwszy miesiąc, ale za dalszy zaatek mamy tylko list pani Shonts.

— Nikt nas jeszcze nie zarwał z tych, co ona przysłała. Zresztą tak mi się wymknęło! Chapinowa jest miła, że choć do rany przyłoż, długo tu nie zabawią, a i ty sam Alfredzie zanadto się rozgadałeś.

— Może, ale nie żyje już nikt z Elphick'ów, nie na się co bać plotek. Powiedz mi lepiej, czemu ci tak siedzą i siedzą?

Chapinowie postawili sobie w pewnej chwili to samo pytanie, poczem odsunęli je na bok. Twierdzili, że służy im klimat miejscowy, perlisty i równy, a tak odmienny od okrucieństwa mrozów i upałów ich rodzinnego kraju. Nieprzerwana cisza nocna wyraźnie służyła Jerzemu; oszczędzono mu nawet widoku linii kolejowej, która, jako wiodąca oczywiście w świat interesów, mogłaby rozbudzić pożądlivość człowieka czynu. Urząd telegraficzny wioski Pardon, w którym sprzedawano naiwne pocztówki z widokami, był odległy o dwie mile ścieżką przez pola. Co się tyczy przeszłości i współkolegów i wspomnień o nich Jerzy czuł się jak na innej planecie. Pani Zosia, której życie upływało dotąd między wiecznie samotnionymi żonami o nieposkromionych ambicjach, za nic nie wyrzekłaby się boskiej terażniejszości.

Posiłki bez pośpiechu, świadomość rozkosznych, wolnych godzin przed sobą, tchnienie niebios, gdy wędrowali oboje, rozpoznając godziny po uczuciu głodu, lub pragnienia... miękka trawa pod stopami, drogę skracająca... wspólne poszukiwanie na terenie folwarków Griffon, Rokkettts, Burnt House, Gale Anstey i folwarku głównego, gdzie stary Iggulden czynił honory nieustannie plądrowanego domu... długie dżdżyste popołudnia w cichym pokoju naprzeciw sadu, nogi leniwie wsparte na niski parapet okna... rozmowa na jaką nigdy dawniej nie bywało czasu... wszystko to przejmowało jej duszę głębokiem rozradowaniem, a ciało doprowadziło do pełni rozkwitu.

— Zdajesz sobie sprawę,—pytała pewnego rana,— że spędziliśmy tu trzydzieści cztery dni absolutnej samotności?

— Czy liczyłaś te dni?

— A czy były ci one miłe?

— Widać, że tak, skoro nie myślałem o nich. Pół roku temu byłbym się skreślił z niecierpliwości: a tu miałem tylko trzy, czy cztery gorsze chwile! Albo to polepszenie, albo uwiad starczy?

— Klimat, wszystko klimat!

Pani Zosia podrzucała nóżką, obutą w pantofelki najnowszego angielskiego fasonu. Siedziała na przełazie za stodołą Cloke'ów, mając przed sobą otwarty widok na Pardon.

— Nie można brać rzeczy przez pół. Wszystko, albo nic, nieprawdaż? Przebiegał wzrokiem puste pola, nie mrużąc jak dawniej oczu przed blaskiem przestrzeni.

— Jest do wynajęcia Morrystown koło Gale Anstey. Może go wydzierżawisz?

— Nie, jeszcze się do tego stopnia nie zanglizowałem. Czy wiesz, Cloke mówił, że wszystkie te folwarki mogłyby dawać dochód.

— Odpowiem ci, jak Anastazja w „Skarbie Francharda”: rada jestem, że istnieje i mruczę. Uważam, że wogóle niema gwałtu.

— Nie—uśmiechnął się—a jednak pójdę zapytać o pocztę dla mnie.

— A obiecywałeś, że nie będziesz korespondował.

— Jest jeden interes, który bardzo mnie ciekawia. Nic denerwującego, uczciwe słowo!

— Może potrzebujesz sekretarza?

— Nie, dzięki, moja stara. Czy niedość po angielsku?

— Zanadto po angielsku, wynoś się. Niemniej jednak oddała mu pocałunek w pełnym świetle jasnego dnia.

— Idę do Pardon. Nie byłam we dworze prawie od tygodnia.

— Jak postanowiłaś umeblować sypialnię Joanny Elphick? śmiał się, gdyż podobne zamki na lodzie stały się ich zwyczajem.

— Czarne chińskie meble i złote brokaty! — odparła, zbiegając wdół.

Jesionową laseczką, tydzień temu pięknie wyrzeźbioną przez starego Igguldena, rozproszyła gromadkę krów, skupionych koło przejścia i szła, śpijąc, Minawszy stare dęby, dotarła do folwarcznego domu od strony podwórza. Staruszka nigdzie widać nie było, a że liczyła na jego towarzystwo w ciągu wolnego popołudnia, zapukała do uchylonych drzwi.

Niebieskooki owczarek, najnowszy przyjaciel, a odwieczny wróg Ramblera, wypełzł na spotkanie, zapraszając do wnętrza.

Iggulden siedział w fotelu przed ogniem z łaską między kolanami. Głowa mu zwisała.

Choć pani Zofja nigdy jeszcze śmierci nie widziała, po nagłym skoku serca, które zamarło na mgnienie, poznała, że stary był martwy.

Nie odezwała się, nie krzyknęła. Stała w progu, a owczarek lizał jej dłoń. Gdy podniósł pysk w górę, usłyszała swoje słowa, brzmiące, jak cudze: — nie wyj! Proszę cię Scottie nie zacznij wyć, bo ucieknę.

Trwała na stanowisku, choć wędrówka cieni po podwórzu wskazywała już południe. Siedziała na schodach przed domem, objawszy ramionami szyję psa, czekając, aby nadszedł ktokolwiek. Obserwowała dach dworu, poznaczony cieniami, rzucanymi przez kominy. Dym od ognia, rozpalonego po raz

ostatni przez Igguldena, malał stopniowo, wreszcie znikł.

Mimowoli myślała, ilu to członków rodu Elphick'ów, Moon'ów, Torrell'ów znoszono zakrętem szerokich schodów w hallu. Przypomniała słowa staruszka, gdy mówił, że jego trzeba będzie wypchnąć sztorcem, jak dzban i schowała twarzyczkę w kudłach psa.

Wreszcie kopyta końskie zadźwięczały o bruk, zaszeleściła zeszcła słoma, rozwłóczona po podwórzu i tuż przed Zosią stanął wikary, osobistość, którą widywała w kościele, gdy przesadzonym głosem deklamował niemożliwe nonsensy (Pani Zosia należała do kościoła połączonego).

— Nie żyje, — oznajmiła bez żadnych wstępów.

— Stary Iggulden? właśnie śpieszyłem, aby z nim pomówić. Wikary wszedł z odkrytą głową. Udar sercowy! doleciał głos z głębi. Jak pani tu długo bawi?

— Od kwadrans po dziesiątej. Spojrzała z rzeczową powagą na zegarek i z dumą zauważyła, że ręka jej nie drży.

— Posiedzę koło ciała do przyjścia doktora. Czy pani mogłaby mu powiedzieć, że... albo proszę zawiadomić panią Betts, mieszka w domku koło kuźni, tam gdzie oberża. Obawiam się, że pani jest bardzo pod wrażeniem.

Zosia skinęła głową i pomknęła w kierunku wsi. Przez chwilę doznała omdlenia w całym ciele; przypadła koło żywopłotu i spojrzała w stronę wielkiego dworu. Jego milcząca moc w tajemny sposób dodała jej sił do wypełnienia zlecenia.

Pani Betts mała, czarnooka i czarnowłosa osóbką była prawie tak niezmaczona, jak dom w Friars Pardon.

— Tak, rozumie się... Boże mój! stary Iggulden miał swoje dobre czasy jeszcze za życia mego ojca. Muriel! Gdzie torebka? Tak, tak proszę pani, kruszą się ci starzy, jak gałązki, co lecą z drzewa, choć wiatr nie wieje, cicho bez hałasu. Muriel, podaj rower, stoi za kurnikiem. Zawiadomię doktora, moja pani.

Potoczyła się, migając kołami podobna do brunatnej pszczoły w locie. Pani Zosia powędrowała z powrotem do domu, czując dziwne odrętwienie w całym ciele. Niebo i ziemia mieniły się jej w oczach. Pół z płaczem, pół ze śmiechem wpadła na Jerzego, zagrzebanego w korespondencji. (c. d. n.)

Z. ZAWISZANKA

CÓRKA BOGA

7



ymczasem młody królewicz Karol obejmuje władzę, opierając się na partji armanjackiej, najbardziej nieprzejednanej w stosunku do najezdników. Jan Burgundzki lawiruje coraz karkołomniej między nim, a Anglikami, zdradzając potrochu oba te obozy. Oburzeni taką dwuznaczną grą,

zausznicy Królewicza podczas spotkania ich obu na moście Monterau (1419 r.) rzucają się na Jana, który ginie w owej utarczce od tego samego miecza, którym tyle wojował.

Rzecz dziwna: opinia publiczna ujrzała w tym tragicznym epilogu występnego żywota nie natural-

ną logikę faktów, lecz krzywdę niewinności, wołającą o pomstę do nieba. Przewrotny urok demagoga działa i z za grobu: oburzenie na Armanjaków za to zabójstwo oddaje w ręce Anglii Paryż i większą część kraju. Przez dziurę, wyrąbaną mieczem w głowie Jana „bez Trwogi“, wdarli się Anglicy do Francji¹⁾.

Haniebny traktat w Troyes (1420 r.) pieczętuje ten stan rzeczy, mianując Henryka V regentem państwa i mężem królowny Katarzyny, a zara-

¹⁾ Słowa, wyrzeczone w kilkadziesiąt lat później do cesarza niemieckiego, gdy, oprowadzając go po kryptach grobowych, pokazywano mu czaszkę księcia.

zem odsadzając na zawsze od tronu królewicza Karola, jako mordercę. Akt ów zatwierdzają Stany Państwa²⁾, zwołane pod presją najezdycy; podpisuje go nieprzytomny ojciec i wyrodna matka, która sama daje do zrozumienia, że syn ten pochodzi z jakiegoś nieprawego związku.

Tymczasem wszystko, co było żywego w kraju, grupowało się z natury rzeczy przy wydziedziczonym. Okoliczności narzucały temu słabemu młodzieńcowi walkę, której się obawiał — okoliczności uczyniły go Karolem VII, wygnańcem, dobijającym się korony. Inteligentny, zdolny do refleksji, lecz nerwowo nieufny, przygnębiony, nieśmiały, cierpliwy, ale dziwnie miękki, — nie nadawał się na wybawiciela ginącego narodu. Przytłoczony nadmiarem trudności do zwalczania, chorobliwie drżący przed każdym wysiłkiem, poddawał się dla świętego spokoju każdej trochę silniejszej indywidualności w swem otoczeniu.

Rej tam wodzą zrazu Armanjacy — kilka zabijaków, złodziei i rabusiów, wyzyskujący ciągle swego pana, lecz ostatecznie szczerze oddani jego sprawie. Zazdrośni o wpływ na niego, mordują się nawzajem bezkarnie w oczach króla, który po stracie jednego faworyta poddaje się najpotulniej drugiemu. A żaden niestety nie umie podsunąć myśli twórczych, natchnąć energii i otuchy.

Nic dziwnego, że tym próżniaczem, a krwawym dworem gardzi zahartowany w bojach typ szlachcica wojaka „małych dóbr, a wielkiego serca, broniącego granic dla króla przez miłość wojny“³⁾. Takimi byli dowódcy nieustającej partyzantki przeciw Anglikom i Burgundom: hr. d'Harcourt, Poton, Gantrilles, sławny La Hire — splamieni napewne niejednym z grzechów głównych, bronili jednak zacięcie nieszczęsnej ojczyzny, może nieświadomie, przez instynkt jakiś uporczywy.

Lecz ten, co ową ojczyznę miał symbolizować, niekorowany król, Karol VII — nie wierzył w potęgę oręża, wysiłku i poświęcenia. On się łudził, że paktami pozyska Burgundję, paktami wypędzi Anglików. Jedynym jego zajęciem było nieustanne układanie listów, orędzi, ciągle konferencje, wysyłanie i przyjmowanie poselstw dyplomatycznych. Anglja — po przedwczesnej śmierci Henryka V, kierowana faktycznie przez kardynała Winchester i Burgundja, w silnem, a mściwem ręku Janowego syna, Filipa — udawały, że biorą na serjo wszystkie te piękne słowa. Dogodna im była taka gra, trzymająca w bezczynności wroga.

A wróg ten mógł, gdyby naprawdę chciał, stać się groźnym: wszak połowa prawie Francji uznawała jego władzę. Mimo to jednak nie miał czem płacić żołdu, sam chodził nieraz w łatanej odzieży, zapożyczał się u własnych sług — co zaś najgorsze, nie wierzył w siebie, ani w swoją sprawę.

Znalazł się jednak ktoś, co spróbował ruszyć ją z martwego punktu. Królowa Sycylii, Jolanta, kobieta mądra i energiczna, broniąc dla syna prowincji Anjou przeciw Anglii, zaprzęgnęła poprzec Karola, który był mężem jej córki. Plan jej polegał na tem, by dać armji nareszcie kierownictwo jednolite, a moc-

ne: upatrzyła w tym celu bretońskiego księcia Artura Richemont. Nie był to zapewne charakter, jak Iza czysty, — plamiły go nawet niedawne konszachty z Anglikami — lecz, jak się później okazało, potrafił się przywiązać do raz wybranej sprawy, a także bić się i kierować ludźmi. W każdym razie był to człowiek serjo, zdolny i dzielny — perła w porównaniu do całej tej bandy, co dotąd otaczała króla. Przytem, skoliigaony z księciem Filipem, mógł się kusić o pogodzenie obu dworów.

Karol VII uczynił go konetablem⁴⁾ w r. 1423, lecz wkrótce kroku swego pożałował: ten śmiały, bezwzględny człowiek budził w nim odrazę; bał się jego reform, ruchu, który on wnosił. Richemont, czując to, podsuwa mu nowego faworyta, La Tremoille, by przezeń wpływ uzyskać. Lecz podła owa figura korzysta z tego, by wępchać się podstępem na jego miejsce (1427 r.) — a niedołączny król akceptuje z rozkoszą banicję znieawidzonego księcia. Odtąd prywatna wojna obu konetablów, 5 lat trwająca komplikuje jeszcze ogólne zamieszanie.

Copravda, 4-o letnie rządy Richemont'a nie zaznaczyły się widomie żadnym zwrotem w położeniu Francji. Filip, zwany (niewiadomo, dlaczego?) „Dobrym“, godny syn swojego ojca, łudził stale mirażem „burgundzkiego pokoju“, najłatwiejszą, a więc znowu skuteczną pułapką na łatwowiernych. Paktuje więc chętnie, a nieszczerze, na obie strony, uszczęśliwiony, że mu Anglja ofiarowuje już regencję, a kto wie, może uda się i co więcej wytargować? Anglicy w 1422 r. wznawiają kroki wojenne, podbijają Pikardję, część Szampanji i prowincję Maine, gdzie napotykają zacięty opór szlachty normandzkiej.

W 1424 r. ponoszą Francuzi czwartą wielką klęskę pod Verneuil.

Wydaje się istotnie, jakby przeznaczenie wypowiedziało już swój wyrok nad tym udręczonym krajem. Porażki stają się tradycją, koniecznością nieuchronną. Anglików jest wszędzie znaczna mniejszość, a jednak wiadomo już zgóry, że oni zwyciężą: wszak zwyciężali zawsze i wszędzie od tyłu, tyłu lat! Nikt z żyjących nie zaznał smaku triumfu, nikt nie pamiętał już upojnej pogoni za pokonanym wrogiem... Powszechnie poczucie, że los jest po jego stronie, paralizowało każdą myśl i ruch śmielszy ciężką sugestją niemocy.

²⁾ Przedstawicielstwo ludności, powoływane od XIV w złożone z reprezentantów lenn, urzędów duchownych i deputowanych miast — nieudolne, nie odegrało znaczniejszej roli. Większą żywotność okazały stany dzielnic Languedoc, głównie w dziedzinie finansów, a także mniejsze stany prowincjonalne, prowadzące nawet niektóre polityczne sprawy. Lecz wszystkie te zaczątki parlamentaryzmu upadają po wojnie, w miarę wzrostu absolutyzmu. (Lavissee, Histoire de France).

³⁾ Lavissee „Histoire de France“.

⁴⁾ „Connétable“ — był to wódz naczelny. Pod jego rozkazami stali dwaj „marszałkowie“ i „mistrz łuczniczków“, dalej następują „kapitanowie“, czyli oficerowie różnych stopni. (Lavissee).



A przecież.... Niezbadała jest moc przetrwania w masie narodowej, choćy jeszcze niecałkiem siebie świadomej. W owym właśnie czasie, na najgłębszym dnie poniżenia, zaczyna się reakcja — bezsilna jeszcze, lecz niewątpliwa — budzi się nienawiść do najeźdźcy.

Jak grzyby po deszczu wznoszą się spiski przeciw Anglikom: w Pikardji, w Rouen, nawet w Paryżu. Normandja stawia ciągle partyzancki opór. Nawet niektórzy stronnicy Burgundji szemrzą już przeciwko haniebnemu przymierz. Pojawia się ciekawy traktat polityczny: anonimowa, ostra krytyka traktatu w Troyes. Dwaj poeci, Blondel i Chartier, jakby natchnieni już duchem przyszłych wieków, wypowiadają bunt patriotyczny. Jeden z tych utworów personifikuje Francję, jako nieszczęśliwą matkę, która skarży się trzem swoim synom — trzem stanom państwa — na klęski swe i opuszczenie.

Niewiadomo, skąd się biorą te odruchy, ku czemu dążą, na co liczą, wpośród tej głębokiej beznadziei. Jakaś potężna wola musiałaby je skupić, aby stały się siłą czynną. Jakiś cud chyba mógłby je rzucić zwycięsko przeciw straszliwemu „fatum”, co ściga Francję bez litości od Crécy, poprzez Troyes i Verneuil, aż ku ostatecznej zatracie .. (c. d. n.)

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU NAGRODY ZA PRACĘ.

Rząd francuski udzielił w zeszłym tygodniu nagród w postaci znacznych sum pieniężnych kilku pracownikom zawodowym za sumienną i intensywnie wykonywaną pracę. Pierwsze nagrody otrzymały: panna Małgorzata Guilloton, pracownica igły i panna Germaine Duboeuf, modystka.

MODA KRÓTKICH WŁOSÓW W ANGLJI.

Ze wszystkich bodaj krajów europejskich największą zwolenniczką nowoczesnej mody krótkich włosów kobiecych okazała się Anglja. Szał obcinania włosów ogarnął tam nie tylko młode panienki, ale nawet i damy w najpoważniejszym wieku. Statystyka, zestawiona specjalnie przez jakiegoś nieprzysiężnika krótkich włosów, dowiodła, że do końca ubiegłego 1925 r. przeszło 7 milionów kobiet angielskich obcięło sobie włosy! Cyfra ta stanowi zgórą $\frac{1}{4}$ całej kobiecej ludności Wielkiej Brytanji. Tylko wśród najuboższej warstwy społeczeństwa angielskiego nie spotyka się dziś już modnie ostrzyżonych główek. Największą uciechę, no i oczywiście — dochód z tego kaprysu mody mają fryzjerzy angielscy, którzy w przeciagu ostatnich kilku lat zarabiają wprost szalone sumy nie tylko na obcinaniu, ale i na stałym utrzymywaniu przepisowej długości owych krótkich czuprynek. To też zakłady fryzjerskie mnożą się w Londynie i na prowincji, jak grzyby po deszczu, a wszystkie są w formalnym obleżeniu od rana do wieczora. Co to będzie jednak, gdy moda, która jest kapryśną panią, zmieni — nagle swe upodobanie i zażąda od swych wielbicielek długich warkoczy? Będą wówczas owe krótkowłose panie nagwałt zapuszczać długie kędziory, a tymczasem — znów będą

mieli dochód szczęśliwi fryzjerzy, sprzedający swym ostrzyżonym klientkom ich własne warkocze!

DYKTATOR — PRZECIWKO KRÓTKIM SUKNIOM.

Dyktator grecki, generał Pangalos, wydał walkę krótkim sukienkom kobiecym. Stosownie do rozporządzenia, ogłoszonego w całej Grecji, żadna kobieta powyżej lat dwunastu nie ma prawa ukazywać się na ulicy, ani w innych miejscach publicznych, w krótkiej sukni. Ustanowiony przez generała specjalny oddział policji kobiecej ma za zadanie czuwać nad wykonaniem tego rozkazu i kontrolować długość sukienek damskich, która to długość według przepisu wynosić powinna przynajmniej trzydzieści centymetrów poza kolana! Angielski tygodnik „The Woman's Leader”, podając tę wiadomość, opatruje ją jednocześnie w następujący złośliwy komentarz: „Szczęśliwy dyktator, który może poświęcić swój czas i uwagę sprawom tak pierwszorzędnej wagi! Widocznie... nie ma innego zmartwienia!” Z. B.

Z TEATRÓW

TEATR LETNI.

„Jej chłopczyk” krotoczwila w 3 aktach *Praxy*.

Jest pewien rodzaj fars, wystawianych w Teatrze Letnim wyłącznie dla Fertnera. Są to farsy sytuacyjne. Nie szukaj w nich sensu, treści, ani dowcipu — byłby to balast zgoła bezużyteczny. Jedyną wartością tego rodzaju utworów, to doskonała technika pisarska autora, który umie zgromadzić stek nieprawdopodobnych sytuacji, budząc śmiech w najodporniejszym widzu, zwłaszcza, że postacie narysowane są doskonale.

„Jej chłopcem” jest Fertner, niezłomny biurowy, przedmiot żartów i kpin kolegów. Nieporadny ten urzędniczek mieszka u konsjerżki (pyszna pani Chaveau) i marzy o milionowym spadku. O marzeniach tych wiedzą koleżdy. Jednemu z nich, współpracownikowi „Latarni”, udaje się umieścić w tym piśmie zmyśloną wiadomość, że Crachot (Fertner) odziedziczył miliardowy spadek. Wiadomość ta rozpowszechnia się szybko między znajomymi Crachota — nie dochodzi jednak do jego uszu, ponieważ nie leży to w interesach, ani ojca panny na wydaniu, ani panny You-You, oddawna poszukującej bogatego opiekuna, ani bankiera, który chciałby wyłącznie zająć się interesami nowokreowanego miliardera. Wynikają z tego nieprawdopodobne sytuacje (bohater wciaż nie domyśla się niczego). Zrozpaczony Crachot ratuje się ucieczką. W pośpiechu chwytą kostjum policjanta nieboszczyka męża swojej gospodyni.

Nowe awantury, perypetje, pogmatwania. Tym razem na terenie komisariatu. Ostatecznie Crachot dowiaduje się, dlaczego stał się przedmiotem zabiegów tylu osób — ale już w następnej chwili mówią mu, że padł ofiarą żartu. Lecz dobry Bóg czuwa nad poczciwcami: panna, która nie chciała brzydkiego miliardera, ofiaruje rączkę biedakowi. Ponieważ jednak i jej cnota musi być wynagrodzona, Crachot, dzięki złącznym operacjom „swego” bankiera, jest szczęśliwym posiadaczem trzech milionów franków. Nie jest to miliard dolarów — ale zawsze coś...

Fertner, który tym razem grał powściągliwiej i dyskretniej niż zwykle, budził na sali szczery śmiech, zbierając dobrze zasłużone oklaski. Panowie Skonieczny, Lenczewski, Knapczyński, Roland i Winkler sekundowali mu dzielnie. Gorzej było z paniami, za wyjątkiem jednej pani Chaveau. Gra pań Peszyńskiej, Walewskiej i Kościeszanki pozostawiała wiele do życzenia. Z. P.

MODY I ROBOTY





175

176

J.H.

117



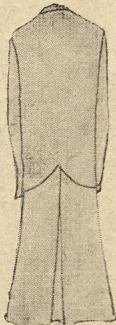
178.



179.



180.



181.



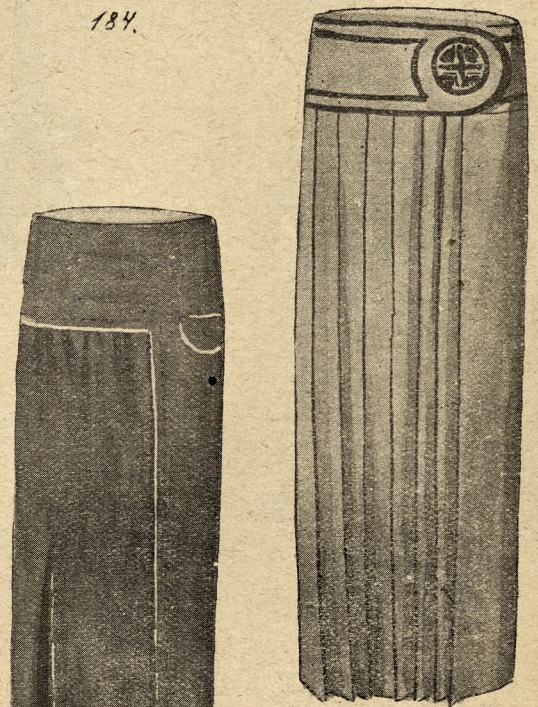
182.

185.



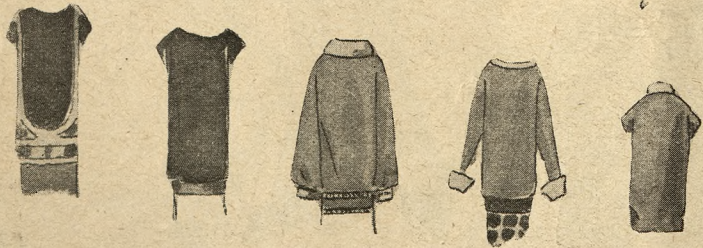
183.

184.



186.

187.



188.

189.

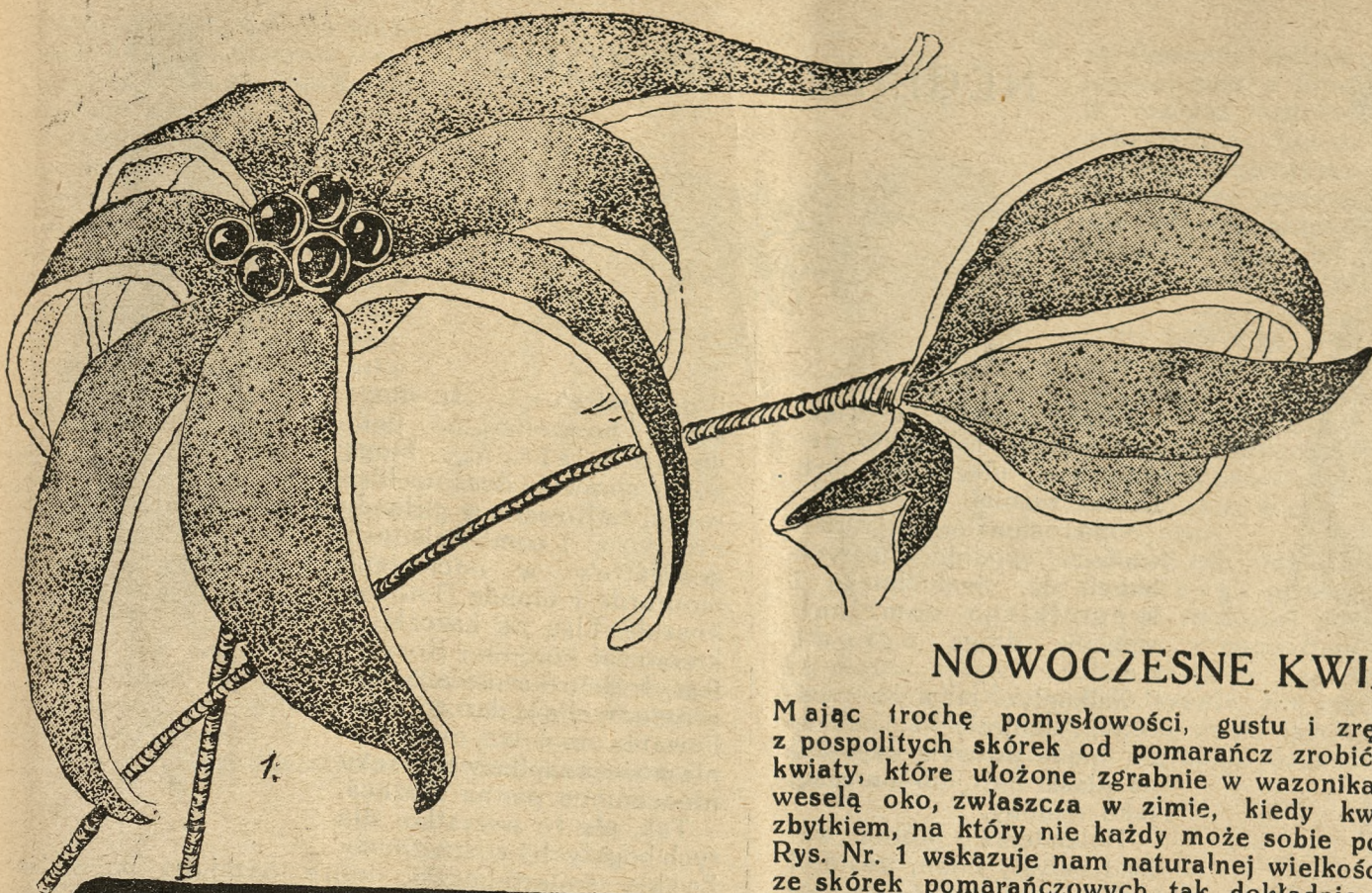


190.

••• BRONZOWY — GRANATOWY ||||| ŻÓŁTY :: ZIELONY — CZARNY ———



197



NOWOCZESNE KWIATY

Mając trochę pomysłowości, gustu i zręczności z pospolitych skórek od pomarańcz zrobić można kwiaty, które ułożone zgrabnie w wazonikach rozweselą oko, zwłaszcza w zimie, kiedy kwiaty są zbyt rzadkie, na który nie każdy może sobie pozwolić. Rys. Nr. 1 wskazuje nam naturalnej wielkości kwiat ze skórek pomarańczowych tak dokładnie, że prawie zbytecznym jest tłumaczenie, jak go wykonać. Dla ścisłości jednak podajemy różne fazy tej roboty (ryciny Nr. 2-3-4 i 5). Starannie zdjętą skórkę z pomarańczy krajemy w równe listki, nie wyskrobując białych części, obsuszamy je zlekką w ciepłym piecyku, zanim zaczniemy je obsadzać. Nie trzeba jednak czekać na zupełne ich wyschnięcie, ale przewidnięte wyginać i nadawać im odpowiednie kształty. Każdy z listków wzięty jest na drucik, a połączenie ich formuje kwiat, którego środek robimy z drewnianych paciorków, naciągniętych na druciki, podwójnie następnie skręczone. Umocować je można zapomocą nitki jedwabiu, lub włóczki, owiniętej naokoło połączonych drutów. Ładnie wygląda w wazoniku gałązka, złożona z kilku kwiatów na jednej łodydze, tak jak to na rycinie Nr 6 widzimy.



NEGLIŻE I DESSOUS



Chyba jeszcze w większej mierze, niż szaty zewnętrzne, uległy ewolucji nasze dessous.

Od krochmalonych i rurkowanych spódnic naszych babek do cieniuchnego i króciutkiego combinaison — droga ogromna

Zniknęły falbanki, koronki, fanfreluche, obecna moda pozwala najwyżej na płaski haft, lub mereżkę, jako ozdoby.

Holenderskie płótna, weby i batysty linon, zastąpił dziś surowy jedwab, crêpede chine, georgette, na które mogą sobie pozwolić kobiety bogate, rozrzutne i.. bezmyślne.

Wbrew biadaniom moralistów wszyscy ludzie rozsądni zgodzili się dziś na jedno — że obecna moda jest zarówno estetyczna, jak i higieniczna. I nikomu nie przyjdzie dziś chyba do głowy żałować szanownej pamięci rurkowanej krochmalonej spódnicy, turniury, robionu, oraz gorsetu panczerza, w którym dotąd tkwią uporczywie niektóre z naszych matek. Natomiast w stosowaniu w życiu najszcześniejszych pomysłów mody winien obowiązywać, jak we wszystkim innym, umiar i rozsądek.

Piszę te słowa z myślą o młodych narzeczonych, co się zaręczyły w tym karnawale i zajęte są wyprawą, gdyż jest to jedyna w życiu okazja do sprawienia sobie wielkiej ilości bielizny naraz, oczywiście jaknajładniejszej, jaknajmodniejszej.. To takie zrozumią.

Jeżeli panie mają możliwość odsyłać bieliznę do dégraissage'u do Paryża, jeżeli prócz wyprawy dostają panie z domu wytrawną pannę służącą, która będzie chętnie, a umiejętnie kąpać w baraskim mydle te jedwabie

i georgette'y — to mogą sobie pozwolić na jedwabną bieliznę. Mogą sobie sprawić i dessous lilas rouge, haftowane w girlandy rococo, i combinaison z georgette'y w odcieniach moutarde i blonde, i nocną koszulę lilas na karczku z kremowej koronki. Koszula jest drobno karbowana, po praniu trzeba ją dać do skarbowania na nowo, ostateczniocenie może ją zapisać w rękę nieoceniona panna służąca.

Tak, ale to wszystko dla tych bogatych i rozrzutnych.

Zwykle śmiertelniczki, które nazajutrz po ślubie pójdą jak wczoraj i jutro do biura, zostawiając dom na opiece przychodniej służącej, których wyprawa bielizna będzie się gotowała z chlorkiem we wspólnym kotle warszawskiej pralni — powinny stanowczo wyrzec się kolorowych jedwabnych fantazji.

Po pierwszym warszawskim praniu zostałyby z nich strzępy nieokreślonej barwy. Nie mogąc stanowczo oprzeć się pokusie, można sobie sprawić jeden jedwabny garnitur do noszenia pod lekkie strojne suknie i prać go osobiście w letniej wodzie z zachowaniem wszelkich ostrożności. Reszta bielizny musi być po dawnemu biała, płócienna, ewentualnie z opalu, lub markizetę. Osobiście lubię markizetę, bo prześlicznie wygląda, mało się gniece i lepiej się nosi od opalu. Pozatem, należy się zaopatrzyć w odpowiednią ilość reforme'ów z fil d'écosse'u lub grubego jedwabnego trykotu. Modny krój combinaison spiętej jedynie wąziuchną kłapką, wydaje mi się w naszym klimacie doprawdy zbyt lekkomyślny. Niepoślednie miejsce w każdej wyprawie powinny zajmować negliże. I saut de lit, który się zarzuca na koszulkę nocną, aby pójść się umyć, i przytulny szlafroczek, w



którym się zasiądzie do śniadania, i suknia domowa (teagown), w którą się zawija po powrocie z miasta, lub wizyt, i w której można przyjąć mniej ceremonjalnych znajomych.

Przy obecnych stosunkach i uszczuplonych budżetach do wszystkich tych celów służą zwykle wyranżerowane suknie wizytowe, a co gorsze stare palta; do wyprawy jednak tak by się chciało mieć wszystko nowe i eleganckie.

Szlafroczek domowy, aby był miły i przytulny, musi być ciepły: z pikowanego jedwabiu na puchu, lub w atolinie, z miękkiej, flaneli double face. Najbardziej wskazaną ozdobą jest puszyste futro, zarówno zdobi, jak grzeje. Szlafroczek powinien się łatwo wkładać i szczelnie zapinać.

Do mycia nadają się szlafroczyki z frotté, związane sznurem na biodrach, latem mogą zastąpić płaszcz kąpielowy.

Bardzo miłym materiałem na domowe sukienki



są aksamity i welwety, ślicznie harmonizują z futrem, można je również ozdobić dyskretnym haftem. Zawsze pięknie wygląda autentyczne japońskie kimono, wymaga ono jednak ładnych pantofelków i starannego uczesania, inaczej sprawia wrażenie tragicomiczne.

Nie należy go również używać ani do mycia się, ani do sprzątanja. Śliczne są ranne pantofelki z brokatu, na wysokich obcasikach bez napiętka, obrzeżone strusimi piórami. Równie śliczne, jak niepraktyczne.

Jeżeli się taki kosztowny drobiazg posiada, należy go zachować do strojnego neglizżu, a nacoedienne ranne wstawanie sprawić sobie miękkie pantofelki bez obcasów i na filcowej podeszwie. Nie męczą nogi, nie robią hałasu, a wyglądają wcale ładnie, o ile są harmonijne w kolorze i zgrabnie dopasowane do nóżki.

W. L.

ECHA KARNAWAŁU

Lola Bywalska, moja serdeczna przyjaciółka, jest kobietą o remnie światową. Spotykamy się niestety bardzo rzadko, gdyż Lola ma zawsze na głowie trzy posiedzenia, osiem wizyt, dwie premjery i trzy bale do odbycia i to wszystko o tej samej porze, więc jest ogromnie trudno uchwytana. Mimo to, że widujemy się tak mało, lubimy się bardzo, mąż Loli twierdzi, że właśnie dlatego. Panowie są złośliwi. W każdym razie ucieszyłam się ogromnie, zastając Lolę samą przy stoliku w Ziemiańskiej. Szczęśliwy traf: siedzące miejsce i możliwość pogawędzenia z dawno niewidzianą przyjaciółką. Okazało się, że Lola ma aż pół godziny czasu, gdyż czeka tu na miarę u krawcowej, mieszkającej w pobliżu. Kwestuję, objaśniła mnie Lola, no i muszę sobie rolić odpowiednią toaletę, właściwie przerobić, jestem członkiem Ligi Niezapominajki, więc nie kupuję tkanin zagranicznych, a że krajowych nie znoszę, więc przerabiam stare zapasy, starczy mi na ładnych parę lat.

— Musisz się martwić, że się skończył karnawał, rzekłam melancholijnie.

— Ja, zawołała Lola oburzona, żeby to odemnie zależało, zniosłabym idyotyczny zwyczaj karnawałowania po wieczne czasy.

Zdziwiłam się niezmiernie.

— Jakto? Przecież zawsze tak lubiłaś się bawić?...

— Właśnie, odparła Lola, ogromnie lubię się bawić i dlatego nie znoszę karnawału. Bo i znajdź tu proszę sposób bawienia się, kiedy masz dziennie trzy publiczne bale, których jesteś gospodynią, pięć dobroczynnych dancingów, dziesięć zaproszeń do domów prywatnych... wszyscy się obrażają, niepodobna się umówić ze znajomymi... Et... zamieszalała czarną kawę ruchem pełnym zniechęcenia.

— Więc ostatecznie jak robisz? pytałam ze współczuciem.

— Rozmaicie, odparła. Naprzykład pierwszego były „Światła i Cienie”, zabawa kostjumowo-bibułkowa, na Kresy Zachodnie, cel sympatyczny, należą do komitetu i tu tego samego wieczoru bal Lotniczy, w Ratuszu. Elita towarzyska, mam kuzyna w lotnictwie... Pojechałabym tu i tam, ale trudno zjawić się do lotników w bibułkach, zresztą trapiło mnie to, że nie wiedziałam, gdzie będzie On.

— Jaki On?

— No, mój tegoroczny flirt. Ostatecznie tak się zezłościłam, że wyprawiłam siostrzenicę na „Światła i Cienie”, ze znajomą matroną, a sama poszłam z rozpacz do kina, bo już odwykłam wieczorem bywać w domu, no i wyobraź sobie, tam go spotkałam...

— Miałaś szczęście!

— Akurat, był w towarzystwie dwóch dam, blondynka i brunetka—do wyboru. Byłam wściekła i jeszcze mąż się śmiał ze mnie.

— Jakto, to ty mu tak opowiadasz...

— Oczywiście, nic nie jest w stanie wytrącić go z równowagi, twierdzi, że tempo życia towarzyskiego w Warszawie jest zbyt szybkie, żeby kobieta światowa miała czas na nawiązanie romansu. Obawiam się, że ma rację.

— Ale przecież nie wszystkie wieczory spędzasz z rozpacz w kinie.

— Ach nie, to wyjtkowo. Przeważnie tańczę, ale to niezawsze jest zabawne. Był dancing 6-go stycznia, na Zmartwychwstanki, urządziła wojewodzina, wszyscy poparli tak gorąco, że wkońcuomal nie podusiliśmy się z tego gorąca. Tłok był taki (sala Resury Kupieckiej nie jest duża), że taniec przypominał przeciskanie się w tramwaju.

- Przynajmniej był dochód?
 — No tak.
 — Więc ciężkie czasy nie odbijają się na frekwencji?
 — Nie, raczej na bufetach, na św. Wincentym à Paulo, był także tłok nie do opisanego, a nazajutrz telefonuje św. Wincenty do „Dzieci Mariji” czyby nie wzięły rozbefu i szynki, bo moc tego została.
 — No...
 — Nie wzięły, bo urządziły dancing w piątek, więc bufet był postny, przytem cały ofiarowany, więc się opłacił, co zostało zjadły „Dzieci Mariji”, to znaczy sierotki z ochronek. Przytem dancing się udał, bo było trochę mniej ciasno.
 — Masz zdrowie tak wszędzie bywać...
 — Cóż chcesz, moja droga, takie cele: „Ochrona kobiet, bursa kresowa, (mąż pochodzi z kresów), Koło Pracy Kobiet, bal „Odrodzenia”, mam dziesięcioletniego synka, chciałabym, by należał do „odrodzonej młodzieży”, bal Politechniki jest zawsze bardzo elegancki, zresztą mam na politechnice dwóch kuzynów...
 — Jakże sobie dajesz radę z tualetami?
 — Wobec ciężkich czasów sprawiłam sobie tylko dwie suknie: ciemną na dancingi i jasną na bale. Ponieważ jednak nieraz zdarzało mi się jednego wieczoru być w paru miejscach, więc bywałam czasem na dancingach w jasnej, a na balach w ciemnej. Zresztą zdarzało się to większości moich znajomych. Chciałam nawet być bardzo oszczędną i sprawiłam do ciemnej wieczorowej sukni długie rękawy, przypinane, do chodzenia do teatru i na wizyty. To bardzo praktyczne. Gorzej było z dancingowym kapeluszem, który sobie sprawiłam, żeby nie wysiadywać ciągle długich godzin u fryzjera, po dwóch godzinach tańca uwierała, jak rozpalona obręcz, miałam jeszcze nazajutrz migrenę
 — Gdzieżeś spędziła Sylwestra?
 — W Europejskim; cel był dziwny, jakieś towarzystwo popierania muzyki. Ale zaciekała mnie lista gospodyń: korpus dyplomatyczny, szereg polskich nazwisk historycznych, oraz gwiazdy i gwiazdki sceny i ekranu—nieraz bardziej znane z tualet, niż talentu. Ta przedziwna sałatka zastanowiła mnie.
 — Wyobrażam sobie, co za stroje?
 — Feeryczne, ponieważ zamierzałam pojechać następnie na redutę dziennikarzy, włożyłam odrazu białą perukę, wiele pań zrobiło to samo i dzięki temu sala wyglądała jeszcze fantastyczniej.
 — Byłaś na Reducie.
 — Nie. Byli znajomi panowie, którzy przyjechali stamtąd i powiedzieli, że nie warto. Natomiast byli tacy męczennicy zabawy, czy snobizmu (już nie wiem), którzy potrafili być jednej nocy w czterech, czy pięciu miejscach, mimo fatalnej pogody i kosztownych biletów wstępu. Tłumaczono mi, że to brak pieniędzy tak gnębi ludzi i nie pozwala im usiedzieć na jednym miejscu.
 — To jak ta, woda, co zalała mieszkanie z braku wody.
 — W każdym razie mimo świateł, alkoholu, strojów i muzyki nie znać było prawdziwego beztroskiego rozbawienia. Podobno bardziej burzliwie bawiono się na Sylwestra w Resursie Obywatelskiej.
 — A na żadnej reducie nie byłaś?
 — Owszem, poszłam na aktorską, w dominie, peruce, w rase z koronką, zamierzałam szalenie intrygować.
 — Z pewnością świećnie ci się udało.

— Aha! Wpadłam w taki tłok masek i źle wychowanych fraków, taka byłam speszona tem, że nieznanymi mówią do mnie „ty”, domino krępowało ruchy, maska uwierała oczy, wreszcie ktoś mnie pocałował w szyję, omal się nie rozplakałam.

— No i jakżeś się wy dostała.

— Zobaczyłam znajomego, który zaczepiał jakiegoś frywolnego maseczki, chciałam go pointrygować, ale mnie odrazu poznał i zapytał: „co pani tu robi?” bardzo zgorzonym głosem.

— Więc?

— A nic, pomógł mi wy dostać okrycie z szatni i wsadził pocziwie do auta, znać było jednak, że ogromnie mu śpieszno do tamtych maseczek. Oto dzisiejsza młodzież!

— Czy to prawda, że niektóre panie kupują swoim tancerzom bilety na zabawy, żeby mieć z kim tańczyć?

Lola wyprostowała się dumnie.

— Mnie to się nigdy nie zdarzyło, przynajmniej dla siebie, inna sprawa, że odkąd bawię siostrzenice, panny na wydaniu, czasem wezmę parę ulgowych biletów studenckich dla niezamożnych kuzynów i rozdaję mówiąc, że są bezpłatne. Odkąd upadł zwyczaj przedstawiania panów przez wodzireja, najładniejsza i najlepiej ubrana panna może przesiedzieć całą noc pod ścianą, o ile się nie zaopatry we własnych tancerzy.

— Zwyczaj amerykański.

— Ach, te amerykańskie zwyczaje. Wyobraź sobie, poszliśmy na bal kostjumowy do przyjaciół, bardzo mili ludzie, ona polska amerykanka. Siostrzenicy sprawiłam kostjum holenderski (ma świetną cerę i duże niebieskie oczy), sobie biedermyer, to mój styl. Przychodzimy, myślałam, że jesteście w domu warjatów. Pan domu, mężczyzna czterdziestoletni w stroju małej dziewczynki. Pantofelki z kokardkami, skarpeteczki gołe kolanka (i co za kolanka), na łysinie koronkowy czepeczek. Pani domu w smokingu, jej siostra we fraku. Reszta kostjumów w tym samym duchu. Ubejrano nasze kostjумы wielce krytycznie i zdecydowano, że nie są ani trochę „funny” (zabawne), mężowi, który był we fraku, proponowano usilnie, ażeby się przebrał w ubranko ich trzynastoletniego synka, który jest dobrego wzrostu. Gdy odmówił, obrzuli się i powiedzieli, że jesteście zupełnie pozbawieni poczucia humoru.

— Biedny twój mąż nie tańczy, musi się nudzić na wszystkich zabawach.

— Bynajmniej, teraz są modne „dancing-bridge”, kiedy żony i dzieci tańczą, mężowie i rodzice grają w bridge’a, czasem bywa odwrotnie. W każdym razie kanapowy mąż i kanapowa matka są rasą, którą się tępi na każdym kroku.

— Urządzałaś jaką zabawę u siebie?

— Nie, nie mogłam znaleźć wieczoru, w którymby większość znajomych była wolna, odłożyłam na św. Józef, lub na Wielkanoc. Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że to już wielki post, będą lekcje tańca, można będzie znaleźć czas na dancing w restauracji, na potańczenie w domu w małym kółku, oczywiście nic nie mówiąc księdzu prałatowi.

Wtem wybiła godzina trzecia.

— Spóźnię się do krawcowej. Zawołała Lola, zrywając się z miejsca, przerażona. Zakręciła się, jak fryga, potarła opasłego semię, przeprosiła przystojnego porucznika i zniknęła, zostawiając za sobą smugę perfum, przewróconą filiżankę i nieuregulowany rachunek. Załatwiłam to za nią z wdzięcznością, gdyż zrobiła za mnie przegląd karnawału daleko lepiej, niżbym to ja zdołała uczynić.

HODOWLA JEDWABNIKÓW

(ciąg dalszy)

Gdy tylko pączki pojawiać zaczną się na morwach, a więc mniej więcej w pierwszych dniach maja przystępujemy do hodowli jedwabników.

Choć łatwa, wymaga ona dużej staranności i akuracji, od niej bowiem zależy zdrowie gąsienic, a tem samem ich pomyślność. Wybieramy miejsce niezbytwidne, zabezpieczone koniecznie od promieni słonecznych, łatwe do przewietrzania, suche, czyste, dające ogrzewać się w razie potrzeby. Najodpowiedniejszym byłby pusty pokój mieszkalny — ale w braku takowego można zużytkować również inne ubikacje, byle posiadały wymagane warunki. Gąsienice hoduje się na ramach w kształcie stojących półek, lub drabinek, wiszących u sufitu.

Ramy zbite z deseczek wyplatamy sznurkiem, lub drutem i nakrywamy papierami tej samej co one wielkości. Potrzebna do racjonalnej hodowli przestrzeń powinna normować się podług wieku gąsienic biorąc za normę, że do ostatecznego wychodowania gąsienic z 1 gr. jajeczek potrzeba 4 metry sześciennie przestrzeni.

Do oczyszczania w przyszłości ram i rozrzedzania gąsienic przygotować musimy tak zwane zdejmniki, czyli arkusze papieru takiej samej, jak podesłane na ramach wielkości — z wybitymi okrągłymi dziurkami — zastosowanemi rozmiarem do różnego wieku gąsienic. Takie dziurki wybija się specjalnym wybijaczem. Przechowane w suchym miejscu o temperaturze 0° do 2° R jajeczka gąsienic, na wiosnę przenosi się do wyższej, stopniowo do 8° doprowadzonej temperatury i w niej pozostawia, aż do chwili kiedy trzeba będzie je ożywić. Ta chwila nadejdzie, jak na morwach zazielenią się liście, czyli w połowie maja. Wtedy na papier z podniesionemi naokoło brzegami rozsypujemy cienko jajeczka i rozkładamy je w miejscu, gdzie łatwo można podnieść temperaturę. Narazie doprowadzamy ją do 10 — 11° R., bacząc, by nie dochodziły do jajeczek promienie słoneczne. Codziennie podnosząc temperaturę o jeden stopień dochodzimy do 17 — 18°, które utrzy-
mujemy stale do czasu wylęgnięcia się gąsienic. Okres ten trwa 9 do 12 dni, ale może trwać krócej, albo dłużej stosownie do wysokości ciepłoty. Skoro wylęgą się liszeczki, co trwa od 2 do 4 dni — najważniejszem jest, aby każdy lęg zebrać na oddzielny papier i ramę, do której przyczepia się kartkę — metryczkę — notując na niej datę urodzenia i innych okresów życia gąsieniczki. Gdyby na początku, albo na końcu wylęgła się bardzo mała partja lepiej zniszczyć ją, niż zajmować sobie czas oddzielnem hodowaniem tak drobnej ilości, ale nigdy

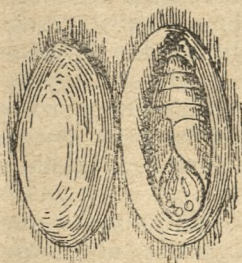
nie można łączyć jej z innemi. Podczas hodowli temperaturę utrzymywać należy stale na 16 — 18°, w tym celu w często przewietrzanej wychowalni trzeba zawiesić termometr dla kontroli ciepła. Życie gąsienicy do chwili zwijania oprzędów trwa 28 do 36 dni i dzieli się na 5 okresów, z których każdy z czterech pierwszych kończy się zmianą powierzchni skóry czyli linieniem — piąty zaś okres ostatni — oprzędem. Za pożywienie dla jedwabników służą, jak już mówiliśmy, liście morwy białej, obcinane z drzewa wraz z gałązkami rano po obeschnięciu rosy. W razie deszczu obsusza się je, rozwieszając w przewiewnym miejscu, gdyż mokre powodują różne choroby. Liście, dające zdrowe pożywienie, powinny być czyste, bez plam zupełnie suche, o temperaturze wychowalni, i być zbierane z drzew, rosnących na słońcu. Z początku liście kraje się drobno, w miarę wzrostu gąsienic coraz grubiej, pokarm w trzech pierwszych okresach życia podaje się 5 razy dziennie — w dwóch ostatnich 4 razy. — Do wychodowania gąsienic z 1 gr. jajeczek (przecięciowo 1500 sztuk) potrzeba około 27 kg. liści. Codziennie należy usuwać nieczystości i resztki jedzenia, znajdujące się pod gąsienicami, robi się to zapomocą zdejmników, na które nakładamy świeże liście i przykrywamy niemi gąsienice. Po upływie półtorej do dwóch godzin wszystkie zdrowe gąsienice przejdą na świeży papier, wtedy wyciągniemy stary, oczyścimy i zpowrotem podłożymy na ramy. Kosz, przeznaczony do noszenia liści na pożywienie, do niczego innego, a zwłaszcza do zbierania nieczystości nie może być uży-



samiec



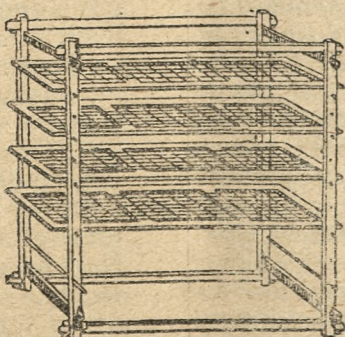
samica



liszka i kokon

weny. — Krótki czas trwania życia gąsienice powoduje ich szybki wzrost — dlatego też od czasu do czasu trzeba zwiększać zajmowaną przez nie powierzchnię — uważając bardzo, aby nie pomieszać dwóch lęgów ze sobą. W tym celu przyczepia się duplikat metryczki do miejsca, gdzie umieściliśmy rozrzedzone gąsienice. Przy końcu piątego okresu swego życia gąsienice przestają jeść i rozglądają się za miejscem odpowiedniem do budowy oprzędów.

Trzeba im w tem dopomóc, stawiając po rogach półek miotłki z dobre wysuszonych gałązek dębowych, lub rozkładając wióry drzewne, na których gąsienice lubią zawijać swoje oprzędy. Czynność ta trwa do trzech dni, a przy racjonalnie prowadzonej hodowli następuje jednocześnie w całej partji. W tej porze gąsienice powinny być otoczone najwyższymi spokojem — inaczej nitka nie będzie owinięta jednolicie i oprzęd dokończony. W 9-tym i 10-tym dniu od chwili gdy gąsienice weszły na gałązki, co dla dokładności notuje się



półka do hodowania jedwabników

na metryczce, przystępujemy do zbierania oprzędów, czyli kokonów.

Przesortowawszy, zdejmujemy z nich otaczającą je watę i zamarzamy dla zabicia znajdujących się wewnątrz poczwerek, aby nie dać im przeobrazić się w motyle, co następuje w dwa tygodnie po zwinięciu kokonów. Motyl wydostając się z oprzędu, przedziurawia go i czyni nitkę niezdatną do rozmotania. Aby tego uniknąć, wsypujemy kokony do przetaka, stawiamy go na kotle z gotującą wodą, nakrywamy grubym płótnem, uważając, aby się oprzędy nie zamoczyły. Pod działaniem pary poczwarki po upływie 10 — 15 minut umierają, o czym przekonawszy się, zsypujemy oprzędy do kosza, nakrywamy świeżym płótnem, żeby po woli wystygły. Rozsypujemy je cienko następnie na ramach w przewiewnym miejscu, często mieszając, aż do zupełnego wysuszenia, przyczem bardzo uważać trzeba, aby nie zapleśniały. Wkońcu lata suche już zupełnie oprzędy składamy do woreczków, a dla zabezpieczenia ich od myszy przed rozmotaniem wieszamy u sufitu. Nie ulega kwestji, że ta nadzwyczaj interesująca hodowla ma wielką przed sobą przyszłość i jest niezawodnym źródłem bogactwa tak dla jednostek, jak i dla całego kraju, to też gorą-

co radzę moim czytelniczkom, aby nie tylko w imię osobistych korzyści, ale głównie w imię dobra społecznego — wzięły się do pracy z odwagą i energią godną wielkiej sprawy, nie zniechęcały się początkowymi niepowodzeniami, ale wytrwały, a pewna jestem, że za lat kilka będziemy mieli własny jedwab, ten dziś niezbędny i niezastąpiony materiał techniczny, nie mówiąc o innych zastosowaniach — za drogie pieniądze dotąd sprowadzany z zagranicy.

Dla ułatwienia i uprzyęstwienia początków na tej drodze przytoczę tu tytuły kilku podręczników: „Jedwabnictwo nasze i obce“ i „Regulamin hodowli jedwabników“ przez Adolfa Boguckiego, znanego pioniera na polu jedwabnictwa, który zanim przeniósł hodowlę swoją do Bogucina, prowadził ją we własnym domu w Warszawie przy ul. Nowy-Swiat Nr. 62, gdzie w podwórku miał maleńki ogródek z kilkoma morwami, a wychowalnię założył w wozówce. Stacja Doświadczalna Jedwabnicza w Milanówku, prowadzona przez państwa S. i H. Witaczek, wydała broszurę wyczerpującą o „Hodowli jedwabników i drzew morwowych“. „Stacja ta stara się o rozpowszechnienie tej pożytecznej hodowli, dostarcza jajeczek jedwabnika — zakłada szkółki morwowe — udziela nauki i wszelkich wskazówek pragnącym je posiadać. W.

ZAKŁADANIE INSPEKTÓW

(dokończenie)

Gdyby teraz nawóz rozgrzany pozostawić własnemu losowi, to wskutek dobrego dostępu powietrza rozgrzewanie postępowałoby nadal bardzo szybko i pod wpływem wysokiej temperatury nawóz przepaliłby się doszczętnie w ciągu bardzo krótkiego czasu. Żeby temu zapobiec, w dzień ciepły, w godzinach południowych szybko zdejmujemy okna, i systematycznie go udeptujemy, od brzegów skrzyni ku środkowi, stawiając nogę przy nodze. Najsilniej trzeba deptać wzdłuż desek.

Po udeptaniu nawozu rozpościeramy na nim warstwę liści mniej więcej 5 cm. grubą, aby zapobiec wyrastaniu grzybów, które się rozwijają łatwo i często, a wtedy wyrządzają ogromne szkody, niszcząc wschodzące zasiewy. Na liście sypujemy warstwę ziemi, której grubość zależy od tego, co ma być w inspekcje uprawiane. Pod rozsady wystarcza 12 do 15 cm. ziemi, pod uprawy trwalsze potrzeba 30 cm. i więcej. Inspekt szybko nakrywamy i pozostawiamy przez kilka dni w spokoju, żeby się ziemia wygrzała i żeby pokiełkowały znajdujące się w niej nasiona chwastów. Równocześnie jednak powinny ulotnić się gazy, wydzielające się z nawozu pod wpływem fermentacji. Żeby zapewnić im swobodny odpływ, należy pod okna podłożyć drewnianki, których grubość powinna być dostosowana do ciepłoty powietrza zewnętrznego, panującej pogody i wrażliwości na gazy roślin, pod które inspekt jest przeznaczony. Najwrażliwsze na gazy są ogórki i melony.

Po upływie dalszych paru dni inspekt znowu należy odkryć, ziemię przekopać płytko, żeby zniszczyć wykiełkowane chwasty, i powierzchnię ugrabić zupełnie poziomo (nie równoległe do leżących pochyło okien). Teraz można przystąpić już do siewu nasion, o ile temperatura w inspekcje nie jest za wysoka: gdy włożymy rękę w ziemię, to nawet w głębszych warstwach ciepłota powinna być przyjemna.

Przy zakładaniu inspektów w porze roku, gdy mrozy mniej się już dają we znaki, a słońce silniej i dłużej przygrzewa, podkład nawozu może być cieńszy i nawóz można częściowo, lub całkowicie zastąpić tańszymi liśćmi. Do tego celu trzeba jesienią zebrać zapas liści, najlepiej klonowych, grabiąc je w dni suche, i przechować liście tak, żeby nie zgniły. Jeśli nawóz jest drobny, to liście można mieszać z nawozem; jeśli jest słomiasty, to lepiej kłaść warstwy nawozu i prześciełać je warstwami liści. Warstwę spodnią najlepiej robić z liści, bo i tak wystudzi ją ziemia.

Oprócz nawozu, potrzebnego do wypełnienia skrzyni inspektowej, trzeba mieć jeszcze zapas na obłożenie skrzyni ze wszystkich stron, aż po górny skraj desek. Takie obkłady chronią inspekt od wystygania wskutek zetknięcia z powietrzem, i powinny być traktowane tak samo, jak nawóz w inspekcje: więc przy deptaniu inspektu trzeba udeptać obkłady, a następnie uzupełnić je dowiezionym nawozem do poprzedniej wysokości.

Gdyby pod wpływem silnych mrozów, po dłuższym okresie ciepła, temperatura w inspekcje spadła, to można ją podnieść, odrzucając obkłady stygnące i zastępując je świeżymi. Odwrotnie, gdyby po silnych mrozach nastały dni ciepłe i w inspekcje było za gorąco, to można skutecznie obniżyć temperaturę, odsuwając obkłady, żeby ułatwić dostęp powietrza do skrzyń.

Gospodarowanie w inspekcje ciepłym jest rzeczą trudną i wymaga doświadczenia. Pamiętać jednak należy, że czynnikiem niemal decydującym jest umiejętne regulowanie dopływu świeżego powietrza. Najlepsze wyniki przeważnie otrzymuje hodowca wtedy, gdy drogą przewietrzania utrzymuje dość niską temperaturę powietrza, w którym rozwijają się nadziemne części roślin, podczas gdy podziemne

korzystają z dopływu ciepła od spodu. Parne, ciepłe powietrze w inspekcji sprzyja wybieganiu (wyciąganiu się) roślin uprawianych, a takie przedstawiają bardzo małą wartość.

Drugim warunkiem powodzenia jest, żeby rośliny rozwijały się jaknajbliżej szyb, gdyż zapobiega to wyciąganiu się ich w dążeniu do słońca. Więc dla rozsąd powierzchnia ziemi powinna być od okien oddalona nie więcej, niż na 10 cm. Gdyby po udeptaniu nawóz znacznie osiadł (co się zdarza, jeżeli za luźno został ułożony przy zakładaniu), to lepiej dać grubszą warstwę liści i grubszy pokład ziemi, niż to było przepisane, byle powierzchnię jej zbliżyć do okien. Pod wpływem postępującej fermentacji nawóz w trakcie wzrostu roślin będzie jeszcze stopniowo osiadał, co przysporzy miejsca rozwijającym się liściom roślin uprawianych.

Stan. Schönfeld.

O DYSPOZYCJI OBIADÓW

(ciąg dalszy)

Nie trzeba dowodzić, że ryby są nader ważnym produktem spożywczym, mogącym w zupełności zastąpić mięso, zdrowszym od mięsa, bardzo smacznym i niesłychanie łatwym do przyrządzenia. Każda ryba, odgotowana w osolonej wodzie z pieprzem i cebulą, jest już smacznym daniem, i takie gotowane ryby je prawie cały zachód Europy. Urozmaicenie ich stanowią sosy przeróżne, świeże i sardelowe masło do nich podawane. Na zachodzie się jada przeważnie ryby morskie. U nas dostawa ryb tych jest fatalnie zorganizowana, dochodzą nas one przeważnie w stanie solonym, lub wędzonym, raczej więc jako przekąska po wódce, lub lekkie danie do kolacji, lub śniadania mogą być użyte, a nie do obiadu. Używamy więc przeważnie ryb rzecznych i jeziornych, przeraźliwie drogich i mniej tłustych, przeważnie więc w Polsce są używane ryby smażone, lub duszone w dużej ilości tłuszczu i śmietany. Ta duża ilość masła potrzebna do przyrządzenia ryb, robi je jeszcze kosztowniejszymi. Mimo to wszystko, dobra gospodyni, dbająca o urozmaicenie jadłospisów, o zdrowe odżywianie domowników i starająca się zachować przepisy kościelne co do postów, powinna się starać używać w kuchni możliwie dużą ilość produktów rybnych, — świeżych ryb w pierwszym rzędzie, a w braku ich ryb solonych, wędzonych, chociażby nawet zwyczajnych śledzi, dających się przyrządzać w najrozmaitsze sposoby.

W leguminach odróżniamy kilka ich gatunków. Przedewszystkiem więc mączne: rozmaite racuchy, naleśniki, wafle, budynie itp., które należy stosować wtedy, kiedy pierwsze dania obiadowe były nieco lekkie. Następnie rozmaite dania mleczne: kremy, mleczka, lody śmietankowe, kaszki na mleku słodkie, zimne i gorące, odpowiednie przy obiadach cięższych. Leguminy z jaj, rozmaite suflety, omlety, kekсы itp. tak samo jak leguminy, mączne pożywne i dopełniające zbyt lekkie jadłospisy. Nakoniec leguminy owocowe: wszelkie kompoty, kisielki, musy, owoce duszone i smażone. Te leguminy owocowe, najzdrowsze ze wszystkich, powinny być używane jak najczęściej. U nas szczególnie, w kraju gdzie kuchnia jest za tłusta, nadto przeciążona daniami mięsnymi, gdzie jarzyn się jada mało, a świeżej zieleniny, (sałat, ogórków itp.) poza sezonem letnim prawie wcale nie używa, leguminy ze świeżych i suszonych owoców powinny codziennie prawie zjawiać się na stole w domu, gdzie kuchnia jest racjonalnie prowa-

dzona. Mając więc wszystkie najczęściej używane produkty, możemy sobie kombinować odpowiednie jadłospisy obiadowe.

Zwykłe, codzienne obiady w klasie średnio zamóżnej składają się zwykle z trzech dań: zupy, mięsa z jarzyną i leguminy. Z nich zupa właściwie nie jest niezbędną. Anglicy naprzykład wcale jej w życiu codziennym nie jadają, zostawiając ją do paradnych, wielodaniowych występów. Zupę można doskonale zastąpić drugą jarzyną, lub jakimś daniem mącznym, makaronem, kaszą, kluskami, dodanymi do mięsa, lub podanymi oddzielnie. Jeżeli jednak w domu jest lubiana zupa i usunąć jej nie można, należy pamiętać, że mięso miękkie (z koniecznym jednak dodatkiem kości) potrzebne jest tylko do ugotowania rosółu, że wszelkie inne zupy można gotować na kościach, conajwyżej z dodatkiem jakichś obrzyneków, skórek, żyłek, kawałków kości, lub skóry od wędliny. Niektóre zupy, jak grochówka, fasolówka, kapuśniak, barszcz burakowy mogą być gotowane na wędzonce samej, lub na kościach od wędliny. Natomiast włoszczyzna i cebula są konieczne dla nadania smaku zupom i rosółom. W domach, gdzie są osoby skłonne do artretyzmu i innych chorób, spowodowanych złą przemianą materji, można większość zup gotować na samym smaku z jarzyn, dodając suszonego grzybka, suto je zabielając śmietaną i wkładając na końcu łyżkę dobrego masła. Zupa taka jest równie smaczna, jak z mięsem i nie ustępuje jej wcale pod względem pożywności. Jeżeli się gotuje rosół, to ponieważ nań potrzebny większy kawał mięsa, należy go ugotować od razu na dwa dni, odcedzić starannie połowę, gdyż pozostałe w nim jarzyny przyspieszają kwaśnienie, zlać do czystego, kamiennego garnka i przechować na chłodzie.

Po rosole najlepiej podać sztukę mięsa z jakim smacznym sosem, grzybowym, chrzanowym, cebulowym, pomidorowym, szczawiowym, kartoflanym i t. p. Jeżeli rosół podajemy z jarzynami i kartoflami, odpowiednim dodatkiem do sztuki mięsa są makaron, kluski, lub jakaś jarzyna nie używana do rosółu, jak naprzykład szpinak, bulwa włoska. Jeżeli rosół zasypimy kaszą, lub makaronem, do sztuki mięsa podamy kartofle, marchewkę, groszek, kalafjory, fasolę białą, lub zieloną. Do sztuki mięsa nigdy się nie podaje na jarzynę purée kartoflanego, kartofli przysmażonych, ani buraczków. Pozostawiony na dzień następny rosół można użyć na zupę włoską, lub cytrynową, lub podać czysty, wtedy do niego najlepszym dodatkiem są paszteciki w kruchem, lub drożdżowym cieście, albo naleśniki, wszystkie te dodatki można nadziać obrzynkami od sztuki mięsa.

Do kwaśnych zup, szczególnie do czystego barszczu, doskonałe są drożdżowe paszteciki, nadziewane słoninką z cebulą, tak zwane szpekuchy. Jeżeli mamy mało resztek mięsnych, np. przy kościach gotowanych, możemy to siekane mięso zmieszać z makaronem, lub ryżem gotowanym i zapiec to w muszelkach. Za zasadę przyjąć należy, żeby się nic jadalnego nie marnowało, właśnie te drobne przystawki z resztek, umiejętnie wykonane, dają pewną różnorodność, pewien charakter staranności obiadom. Po sztuce mięsa odpowiednią leguminą będzie jakiś budyń, ryż z jabłkami, racuchy z konfiturami, jabłko w cieście, czy inna jakaś cięższa, pożywna legumina.

Jeżeli mamy zupę z pasztecikami, lub innymi przystawkami, po niej mięso pieczone, lub smażone z jarzyną i sałatą, najodpowiedniejszą leguminą będzie kompot, kisiel, krem, lub galareta.

W dni postne mięso zastępuje ryba. Ryba może być gotowana z sosem, lub smażona. Do ryby

jednak nie podaje się żadnych jarzyn oprócz kartofli, przeważnie gotowanych. Do smażonej, lub opiekanej w piecu ryby podaje się sałatę zieloną, kapustę czerwoną, kapustę kwaszoną zupełnie prostą, lub zaprawioną cukrem i oliwą. Doskonałym dodatkiem do ryby smażonej jest cytryna, pokrajana na ćwiartki, którą się zaciska ryby przy jedzeniu, na talerzu.

Oprócz zwykłych mięs i drobiu, ryby i zwierzyzny, dużym urozmaiceniem kuchni są różne mózdzki i wątróbki, nóżki i główki, z których się robi potrawy i pasztety, daje smażone, „au naturel”, lub w cieście. Taki pasztet na gorąco, główka, lub nóżki smażone w cieście z pomidorowym lub białym sosem są daniem solidnym, mogącym zastąpić pieczone, lub smażone mięso. Bigos z kapusty, gołąbki nadziewane mięsem, lub grzybami, kołduny, kulebiak z mięsem, kapustą, lub ryżem z jajami, bliny rosyjskie, ryba w galarecie, lub faszerowana na zimno, makaron zapiekany z szynką, budynie z kapusty i kalafjorów, rawjolki ze szpinakiem i tem podobne potrawy mogą też być użyte zamiast mięsnego dania przy bardzo gospodarskiej kuchni, właściwem jednak ich miejscem jest podanie ich bezpośrednio po zupie, przed lekkim pieczysem, lub w obiedzie postnym przed rybą albo jarzyną z dodatkiem grzanek lub fleuroniów z francuskiego ciasta. Najlepiej, przy cięższym, gospodarskim obiedzie podać je przed zupą. Przy dobrych apetytach stanowią one doskonałą podstawę, po której reszta obiadu może być lżejszą.

Nieвозмоiwem jest w krótkim artykule dać dokładne, wyczerpujące wskazówki co do dyspozycji obiadów codziennych, każda gospodyni musi się sama orjentować w tem, aby jedno danie służyło za dokompletowanie innych, żeby obiad składał się w równych częściach z mięsnych, mącznych, jarzynowych i owocowych produktów, aby wprowadzić jadłospisy najbardziej urozmaicone, używać na zmianę mięs białych i ciemnych, o ile środki pozwalają wprowadzać drób i wędliny, nie żałować jarzyn i owoców. Trudniejsze do dyspozycji są obiady prozzone, muszą one być stosowne do okazji i uroczystości, któremi są spowodowane, do pory roku, w której można do nich wprowadzać rozmaite nowalje i specjalności. O takich obiadach pomówię w następnej pogawędce.

(d. c. n.)

Pani Elżbieta

PRZEPISY GOSPODARSKIE

RYBA DUSZONA Z KARTOFLAMI.

Wysmarować rondel grubo masłem. Ułożyć na dno rząd surowych kartofli krajanych w talarki, na to rząd cebuli także pokrajanej. Jakąś większą rybę: sandacza, szczupaka, lina pokrajać po oczyszczeniu na dzwona, osolić, położyć na cebulę, popieprzyć pieprzem, zmieszany z zielem, położyć warstwę cebuli, znowu rząd kartofli, wszystko lekko osolić, zalać rzadką śmietaną (gęstą śmietaną można mieszać po połowie z wodą), aby dobrze objęło, przykryć szczelną pokrywą i dusić na wolnym ogniu, około czterdziestu minut. Podawać w temże samem naczyniu. Jeżeli rondel nieładny, owinać go wokół serwetą.

RYBA PIECZONA „AU GRATIN”.

Najlepszy do tego jest sandacz, jednak można tak samo przyrządzić i szczupaka, lub z ryb morskich dorsza. Oczyszczyć rybę w całości, nie krajać

na dzwona, osolić na dobrą godzinę. Długi półmisek metalowy posmarować grubo masłem, ułożyć nań rybę. Dziesiątek świeżych pieczarek, lub tyleż odgotowanych, młodych borowików, mieszać z dużą garścią tartej bułki i pięciu usiekanymi cebulami. Rybę posmarować surowem masłem, pokryć całą mieszaniną grzybów i cebuli, na to znów położyć kawałki masła, podlać szklanką wody zimnej, aby się nie przypalało i wstawić na pół godziny w nie-nadto gorący piec. Podawać na tym samym półmisku. Do tego kartofle z wody i sałata z czerwonej kapusty, lub też sałata zielona z octem i oliwą.

SZCZUPAK W KWAŚNEJ KAPUŚCIE.

Szczupaka oczyszczonego i osolonego ugotować w krótkim sosie z cebulą, pieprzem i listkiem. Oddzielnie ugotować dobrze przemytą w kilku wodach, dla usunięcia zbytniego kwasu, kapustę. Jednego i drugiego, to jest ryby i kapusty brać mniej więcej tyleż samo na wagę. Metalowy półmisek posmarować masłem, ułożyć na nim warstwę kapusty, na niej rybę oczyszczoną z ości, znowu kapustę, znowu rybę, na wierzchu może być kapusta. Polać obficie roztopionem masłem, osypać grubo bułeczką tartą po połowie z ostrym serem, wstawić w piec na pół godziny, uważając, aby się dobrze po wierzchu zrumieniło. Podawać bardzo gorące na tym samym półmisku.

Pani Elżbieta.

KORESPONDENCJE DZIAŁU PRAKTYCZNEGO

Wielbicielce „Bluszczu”—Puławy.

Adres miesięcznika: „Mon chez soi” dotąd nie jest nam wiadomy. W Warszawie niema go zupełnie, wkrótce spodziewamy się dostać z Paryża potrzebne informacje, któremi nie omieszkamy podzielić się z naszymi czytelniczkami.

Pani W. G.—Częstochowa

Aplikację można przyszyć cienką igielką wokół na okrętkę dobrze dobranym kolorem, jedwabiu. Jeżeli figury rysunku duże, konieczne trzeba w środku podklejać—inaczej gładko leżeć nie będą.

Pani Marylce—Trembowla.

Firanki najładniejsze będą z markizety, wyciąganej w mereżki szersze i węższe—kwadraty wyciągane imitujące filet — haftowane duże kropki atlaskiem, lub grube dziurki, a także pasy siatki pozszywanej można gustownie połączyć.

Siatkę na żakiecik dostanie Sz. Pani w Warszawie w firmie Kiltynowicz, Mazowiecka 16. Firma ta wyśle potrzebną ilość materiału za zaliczeniem pocztowem. Siatka kosztuje metr 13 zł. 20 gr., ale jest szeroka 1 m. 80 cm. Po przysłaniu miary i pieniędzy możemy formę zaraz wysłać.

Sanok.

Mycie zębów należy skutecznie dwa razy dziennie—rano pastą, ewent. proszkiem, szczoteczką niezbyt twardą, do wody dodawać parę kropli eliksiru. Elikisir działa dezynfekcyjnie i dociera do miejsc najbardziej ukrytych między zębami. Wieczorem jedynie myć należy szczoteczką do zębów bez proszku i pasty. Do płukania ust konieczne jest dodanie paru kropel eliksiru.

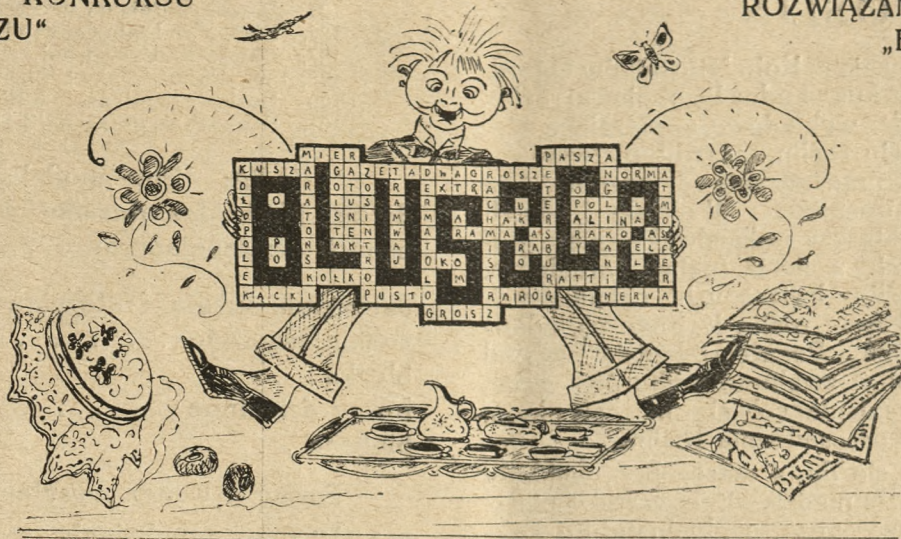
Bardzo dobry proszek do zębów, pastę, oraz eliksir wyrabia firma Karpiński Tow. Akc. Warszawa Elektoralna 35.

ROZRYWKI

ROZWIĄZANIE I-GO KONKURSU „BLUSZCZU“

Pierwszy konkurs rozrywek umysłowych ogłoszony w Nr 51/52 z roku zeszłego obudził duże zainteresowanie wśród Czytelniczek „Bluszczu.“ Udział w nim wzięło wiele osób i rozwiązania przeważnie nadsyłane były w ostatnim terminie, tak że byliśmy zmuszeni odłożyć ogłoszenie rezultatu do niniejszego numeru. Po-

№ 1 KRZYŻÓWKA



Rysunek pani Burchardowej

UMYSŁOWE

ROZWIĄZANIE I-GO KONKURSU „BLUSZCZU“

mimo wielkiego napływu rozwiązań — bardzo wiele było błędnych i te naturalnie odpadły. Rozwiązania rysunkowe krzyżówek i wierszowane szarady przysłało zaledwie parę osób. Największą ilość punktów uzyskały pp.: H. Burchardowa — 90, Kiepuńska Leontyna — 55, Kisielowa M. — 55, Orłowa-Jasińska — 65, Sołtysikowa Anna — 70.

NAGRODY OTRZYMUJĄ:

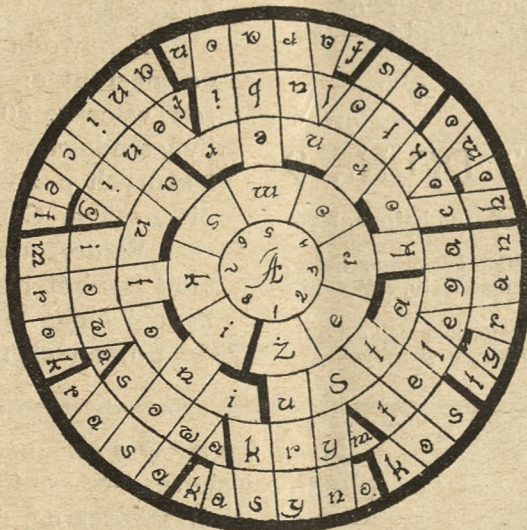
- I. Serwis do czarnej kawy — p. H. Burchardowa z Częstochowy.
 - II. Zaczętą robotę wraz z dodatkami — p. Anna Sołtysikowa ze Lwowa.
 - III. Kwartalną prenumeratę „Bluszczu“ — p. Orłowa-Jasińska z Sosnowca.
- Prosimy wyżej wymienione osoby o zawiadomienie nas, czy przeznaczone dla nich przedmioty mamy wysłać pod ich adresem pocztą.

WIERSZOWANE ROZWIĄZANIE SZARADY № 2 (nadesłała p. Burchardowa).

Wielką skargą rozbrzmiewa prawie Polska cała:
 Wieszcz odszedł... a w tych słowach dużo się zamyka,
 Bowiem ciężka jest strata, jaka nas spotkała
 W czas zwątpień, jakie przeżył „Cezary Baryka“.
 On widział już Przedwiośnie — nie doczekał Wiosny,
 Bo ze zwątpieniem śmiało nie wziął się „za bary“
 I brak mu było wiary, tej wiary radosnej,
 Co krzepi w chwilach zwątpień. Żal nam Cię, Cezary!
 Lecz niema tu Twej winy, albo bardzo mało,
 Wie, bowiem cały naród, że zaborcy wszędzie,
 Moskiewscy czy też „C.K.“, w szkole, czy w urzędzie,
 Wytepiali tę wiare, jak się tylko dało.
 A człowiek bez tej świętej wiary w ideały,
 Jako bez wody „ryba“, zwykle ginie marnie.
 Nim zginie, to mu zwątpień wichur rozszalały
 Potarga w strzepy duszę, drwiąc z niego bezkarnie.

№ 2 SZARADA CEZARY BARYKA

№ 3 KRZYŻÓWKA-KOŁO



KRZYŻÓWKA-KOŁO

WIERSZOWANE ROZWIĄZANIE SZARADY № 2 (nadesłała p. Sołtysikowa).

Szarada bardzo łatwa, bo zaraz z początku Można się już domyśleć całego jej wątku. Rozwiązania zagadki nie utrudni chyba Ta na piasku bez wody konająca „ryba.“ Prawda, że tak rosyjskie, jak i „C.K.“ szkoły Plon nam pozostawiły nie nazbyt wesoły. Rzadko który z ich uczniów, czy młody, czy stary Potrafi ze złym losem chwycić się „za bary“ Przemóc go i zwyciężyć, nie ugiąwszy duszy, Chociaż się wszystko wokół rozpada i kruszy. Częściej na byle marnej przeszkodzie utyka Jak znaczenie szarady „Cezary Baryka“.

WIERSZOWANE ROZWIĄZANIE SZARADY № 2 (nadesłała p. Rodysówna).

Chociaż nie „C. K.“ ukończył on szkoły,
 Nie wiedział długo, co ojczyzna znaczy;
 Nie znał tragedji jej, walk i rozpaczny,
 Pół tylko Polak, a Moskal napoły.
 Aż przyszedł przewrót i rozliczne kłęski
 Z Czarusia już się rozwinął Cezary,
 Z niedołą przyszło wziąć mu się „za bary“
 Lecz zdrów, jak „ryba“ wyszedł z walk [zwycięski].
 Wreszcie kraj: miłość, rozliczne przygody,
 Zdrada i rozpacz, bolesne pytania,
 Znow inna postać z kart nam się wyłania.
 Nie ten to znany nam bohater młody!
 Nie widząc znikąd jasnego promyka,
 Nie wierząc w nic już, w chwili uniesienia
 W krzyk buntu nagle cały się zamienia
 Czarusz z „Przedwiośnia“ — Cezary Baryka!



Rysowała p. Orłowa-Jasińska

KURS HODOWLI POKOJOWEJ ROŚLIN

Dorocznym zwyczajem Koło Miłośników Ogrodnictwa urządza znowu kurs hodowli pokojowej roślin. Kurs obejmuje 24 godz. wykładowe, zawierające wiadomości ogólne o życiu roślin, zasady pielęgnowania w mieszkaniach, przesadzania i rozmnażania w zakresie potrzeb miłośników. W dziale hodowli szczegółowej kurs dostarczy wskazówek o pielęgnowaniu roślin ozdobnych z liścia (palmy, araukarje, draceny i t. p.), roślin kwitnących cebulkowych i kłączowych, paproci, oraz roślin kwitnących jednorocznych i wieloletnich. Ponadto będzie wykład o zdobieniu balkonów, o zwalczaniu chorób i szkodników, a dla osób zapisujących się na cały kurs, ćwiczenie praktyczne przesadzania roślin.

Kurs rozpocznie się dn. 4 marca b.r., wykłady będą się odbywały w poniedziałki, czwartki i piątki od godz. 7 do 9 wieczorem w lokalu Instytutu Bakteryjologicznego Un. Warsz.—Nowy Świat 19, wejście do przedsionka bezpośrednio z ulicy przez drzwi nieopatrzone numerem.

Informacyj udzielają i przyjmują zapisy: Inspektorka M. Chmurkowska — Polna 32 m. 6, tel. 55-88 (od 3—5 pp.), Sekretariat Tow. Ogr. Warsz., Bagatela 3, tel. 31-50, skład nasion B-ci Chomicz—Zgoda 8, tel. 52-80, oraz przed rozpoczęciem wykładów — na miejscu.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 9

171. Suknia z popeliny rezedowej, przybrana haftem. Wzór na arkuszu wzorów.

172. Suknia z lekkiej wełny, kamizelka kremowa, haftowana złotem i kolorami odpowiednimi do materiału. Wzór na arkuszu wzorów.

173. Suknia wełniana, przybrana haftem, kamizelka i bufy z jaśniejszej georgette'y. Wzór haftu na arkuszu wzorów.

174. Suknia z welwetu, przybrana haftem na jaśniejszym tle.

175. Sukienka dla czternastoletniej dziewczynki, ponsowa z granatową plisą.

176. Suknia z popeliny koloru parme i jaśniejszej georgette'y. Wzór haftu na arkuszu wzorów.

177. Suknia wełniana z jasną kamizelką.

178. Suknia z tiolkowego sukna z kłosową falbaną.

179. Sukienka dla dwunastoletniej dziewczynki z wełny gładkiej w kratę.

180. Suknia sukienka z godetami.

181. Suknia wełniana, granatowa, przybrana haftem.

182. Bluzka z sukienka lila, przybrana fiołkowym.
183. Bluzka z welwetu i rypsu zielonego.
184. Wełniana bluzka z krawatem kolorowym.
185. Bluzka wełniana, przybrana taśmą i guziczkami.
186. Bluzka welwetowa, kamizelka haftowana.
187. Bluzka przybrana aplikacją.
188, 189. Naimodniejsze fasony spódnic.
190. Laufer zakopiański, haft kolorowy.
191. Firanczka na szybę, haft richelieu.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3.50
suknia zwyczajna	„ 2.50
bluzka	„ 2.00
formy dziecięce	„ 2.00
bielizna	„ 1.50

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

Wysyłanie za zaliczeniem kosztuje więcej, niż forma, lub wzór i dlatego zapewne wiele pragnących nie wykupuje zamówień, narażając nas na duże straty.

Z powodu wynikłych nieporozumień wyjaśniamy co następuje: ogłaszane przez nas arkusze wzorów w cenie 30 gr., są to oddzielne arkusze, które były dodawane do „Bluszcza“ w ciągu roku 24 i 25, i których pozostała niewielką ilość możemy odstąpić naszym Czytelniczkom.

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, nie mają z temi arkuszami nic wspólnego i mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrus — makata — ekran — zł. 2,50,
poduszka — serwetka — zł. 1,50,
drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów, poza temi, które były umieszczane w „Bluszcza“ nie wysyłamy.



Quaker Oats to nie zwykłe płatki owsiane, lecz specjalnie sporządzone, w swej jakości nie do porównania z innymi.

Potrawy sporządzone z tego delikatnego środka odżywczego spożywa każdy z prawdziwą rozkoszą.

Quaker Oats są do nabycia tylko w paczkach.

Quaker Oats

„LAMBRO“ Sp. z ogr. odp. Warszawa. Niecała 8 tel. 76-56.

DR. MED. J. ŚWITALSKA Choroby skórne i kosmetyka lekarska. Ordyn. wyłącznie dla kobiet od 5—7 dla pań z prowincji w święta od 2—3. Krucza 31 m. 3 tel. 102-77



MYDŁO W PASCIE NISZCZY EMALIE



DENTOLIN

NAJLEPSZA PASTA DO ZĘBÓW
BEZ DODATKU MYDŁA

Fr. KARDPIŃSKI w WARSZAWIE



Chorzy! Używajcie tylko pewne **Chorzy!**
i wypróbowane środki

Tysiące ludzi chronicznie chorych uzdrowiły
od 1602 roku

REFORMACKIE

pigulki z m. Zakonnik



Zalecane przez powagi lekarskie REFORMACKIE pigulki z m. zakonnik radykalnie usuwają wszelkie cierpienia ŻOŁĄDKOWE, cierpienia NEREK, cierpienia WĄTROBY, KAMIENIE ŻÓLCIOWE, cierpienia HEMOROIDALNE, REUMATYZM, ARTRETYZM, bóle GŁOWY, WYRZUTY i LISZAJE, pobudzają TRAWIENIE, APETYT i przy skłonnościach do OBSTRUKCJI są niezastąpionym środkiem PRZECZYSZCZAJĄCYM.

Używać 1 do 2 pigulek na noc. Cena pud. zł. 1.45
Wyrobu apteki KARCZEWSKI-TUSZYŃSKI Warszawa, Trebacka 4.
Żądać w aptekach i składach z Zakonnikiem

Krem
Miaflor

Radikalnie i odświeża cerę, Chroni twarz i ręce
przed pękaniem.

WYRZYK ŻAK-POZNAŃ, fabryka perfum i kosmetyków.

Wydany przez nas bardzo starannie,

ZBIÓR MONOGRAMÓW

zawierający przeszło sześćset wzorów od wykwintnych do najskromniejszych, dorównywuje pod względem wykonania zagranicznym tego rodzaju wydawnictwom, a mając charakter swoisty, bardziej odpowiada wymogom domu polskiego.

Każdy, nie umiejący nawet haftować, z naszego „ZBIORU” (ze względu na ilustrowane pouczenia) skorzystać potrafi.

Za jeden monogram płaciecie Panie około 2 zł; cena naszego „Zbioru” wraz z przesyłką pocztową wynosi tylko 5 zł.

Wysyłka natychmiastowa po nadesłaniu pieniędzy przekazem pocztowym. Za zaliczką wysyłamy tylko po otrzymaniu 1 zł. znaczkami pocztowymi.

ADMINISTRACJA „BLUSZCZU”

Warszawa, Krak.-Przedm. 99.

Konto P. K. O. 3700.

Jedynie piękną cerę nadają

KREMY I PUDRY HIGJENICZNE

Wyrobu Laboratorium Apteki
M. MALINOWSKIEGO
Warszawa, Nowy Świat 31.

NA RATY! ZA GOTÓWKĘ!
NAJTANIEJ!!

WEŁNIAKI I KILIMY,
ARTYSTYCZNE WYROBY Z DRZEWA,
PUDEŁKA

POLECA SKLEP SEKCJI PRZEMYSŁOWEJ
Marszałkowska 84.

152

Zawiadamiamy Sz. Panie Prenumeratorki, że
w Administracji naszej są do nabycia dołączane
do „Bluszczu” w latach 1924 i 1925

ARKUSZE WZORÓW

naturalnej wielkości robót ręcznych do kopjowania

Arkusze te można nabywać kompletami nie mniej
6 sztuk w cenie 30 gr. za arkusz, na koszt, przesyłki
pocztowej kompletu należy nadesłać 20 gr.

**KOMPLET ARKUSZY Z 25 SZT. KOSZTUJE
7 ZŁ., Z PRZESYŁKĄ 7 ZŁ. 50 GR.**

PRENUMERATA „BLUSZCZU”
z przesyłką pocztową wynosi
Rocznie—57 zł. 60 gr., kwartalnie—14,40, miesięcznie—4,80.
Zagranicą miesięcznie—8 zł. Zmiana adresu 30 gr

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Warszawa, Krakowskie-Przedmieście (Plac Zamkowy) № 99.
Telefon Nr 239-40 Konto czekowe P. K. O. Nr 8700.